

TYGODNIK LITERACKI

Nr 8 (23) ■ Rok II ■ 24 LUTEGO 1991
ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

BALTYN, BUDZYŃSKI, DRZEWUCKI, DZIEKANOWSKI, KARPIŃSKI
KRÓL, MACHNICKI, MUSIAŁ, RUTKOWSKI, TAZBIR, WĘGIELEK

Jan Błoński

Raport o stanie książki

Troska o książkę polską, zwłaszcza zaś o zapewnienie dostępności literatury i o jak najszerzy rozwój czytelnictwa – stanowi podstawowy obowiązek Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Powołał on zatem Komisję do Spraw Książki, polecając jej opracowanie raportu o stanie książki i wskazanie najbardziej niezbędnych kroków, umożliwiających wyjście ze stanu niepewności i kryzysu, w którym – zdaniem społeczności literackiej – znalazły się produkcja i rozpowszechnianie książki. Raport ten nie miał być – rzecz jasna – szczegółowym opracowaniem księgoznawczym czy ekonomicznym, ale raczej zwię-

złym przedstawieniem dzisiejszej sytuacji książki i uściśleniem stanowiska, które zajmie w tej sytuacji Stowarzyszenie.

I

Komisja rozpoczęła swą pracę od zapoznania się ze stanem 1. produkcji książkowej 2. wydawnictw 3. hurtu i detalu księgarskiego 4. bibliotek, będących niezmiernie ważnymi odbiorcami książek.

1. Dane statystyczne za lata 1984–1989 mogą być tylko niewielką pomocą w ustaleniu, co dzieje się z polską książką literacką. Nie wykazują one drastycznych zmian ani w nakładach,

ani w liczbie tytułów literatury, ani jej udziale w globalnej produkcji książek w Polsce, ani w proporcjach rodzajowych i gatunkowych. Do lat 1987–1988 pozostajemy w powolnie zwiększającej się produkcji globalnej, z lekko zwiększającym udziałem książki literackiej i ostrzej rosnącą ceną. Produkcja ta jednak wynosi 6–7 egzemplarzy na jednego mieszkańca, czyli po staremu – na końcu Europy (por. załączniki).

Tymczasem wiemy, że poza tą pozorną stabilnością dokonuje się całkowity przewrót w dziedzinie książki, spowodowany powstaniem drugiego obiegu, likwidacją cenzury, wejściem nowych prywatnych wydawców i wprowadzeniem wolnego rynku. Trafniej niż przez statystyki można więc opisać nową sytuację przez – wygląd księgarni i straganów, zabiegi wydawców, stan remanentów i zyski producentów książki (do obydwu nie ma statystycznych danych), wreszcie przez opinie czytelników i także, literatów. Przedtem jednak należy wyjaśnić, czy względna stabilność statystyk odpowiada naprawdę stabilności rynku.

Otóż do roku 1985 pozycje wydane w drugim obiegu nie były wliczane do globalnej produkcji książki. Można stąd wnosić, że – poczynając od roku 1986 – pozycje wydawane w drugim obiegu wyrównały faktyczne słabnięcie pierwszego i pozwoliły na utrzymanie równowagi liczbowej na rynku, nie mówiąc o tym, że spowodowały gwałtowną zmianę merytorycznej zawartości produkcji książkowej.

Godzi się także zauważyć, że największą liczbę wydanych egzemplarzy osiągnięto w roku 1987, najwyższą liczbę tytułów w następnym. W roku 1989 zaznaczyła się wyraźna zniżka obydwu. Zapewne odpowiada to ogólnemu przekonaniu, że dopiero wtedy weszliśmy w głęboki kryzys rynku księgarskiego, dostrzegalny gołym okiem w roku 1990 co do którego nie mamy – rzecz jasna – danych statystycznych. Informacje cząstkowe (np. dane o produkcji i rozsprzedaży pozycji łatwo porównywalnych, np. serii klasyków) wskazują na znaczny spadek nakładów i popytu. Rzuca się także w oczy rosnąca obecność książki czysto rozrywkowej, podobnie jak zanik pozycji indoktrynacyjnych i propagandowych, wmuszanych przeważnie środkami administracyjnymi.

2. Już dzisiaj prawie połowa tytułów ukazuje się w niedawno powstałych wydawnictwach niepaństwowych, głównie prywatnych. Problemy tych wydawnictw różnią się – choć nie we wszystkim – od problemów „starych” oficyn państwowych czy quasi-państwowych.

A. Wydawnictwa prywatne, znacznie liczniejsze i zarazem mniejsze, odznaczają się często tym, że a) stanowią część innego rodzaju przedsiębiorstw albo się na takich opierają b) nie korzystają (albo korzystają w niewielkim stopniu) z usług Domu Książki c) zatrudniają na stałe bardzo nieliczny personel i pracują nieporównanie szybciej i elastyczniej. To właśnie pozwala im – chociaż z widocznym trudem – radzić sobie ze stratami, powstającymi na skutek deprecjacji pieniądza.

Wśród tych wydawnictw już dzisiaj można łatwo wyróżnić bardzo pokaźną grupę przedsięwzięć czysto komercyjnych, powstałych nie-raz dla wydania jednego tytułu (lub autora)

dokończenie na s. 7



FRANCISZEK MAŚLUSZCZAK

Szanowni Czytelnicy!

W „Artykule politycznym” w nr. 6 „Tygodnika Literackiego” Tadeusz Komendant sygnalizował „przyspieszenie” w naszej redakcji. Jego rezultatem stał się – zgodnie z duchem tak modnego dziś pluralizmu – podział zespołu. Numer, który oddajemy do rąk czytelników jest ostatnim zredagowanym wspólnie.

Dzielimy się, bo od dawna już byliśmy podzieleni.

U początków „Tygodnika” mieliśmy nadzieję, że różnice pokoleniowe, sprzeczne wizje zawartości pisma, odmienne sposoby redakcyjnej pracy będą wzbogacać nasze przedsięwzięcie. Niestety, nie udało się tych rzeczy uzgodnić między nami.

Trudno. Stało się.

Będziemy wydawać dwa tytuły: „Tygodnik Literacki” i „Potop. Pismo literackie”.

W obu „wcieleniach” będziemy się starali być potrzebni.

Prosimy Czytelników o wyrozumiałość i zyczliwość dla obu inicyjatyw.

Redakcja

twarz tygodnia

Jest już ostatnia. Nie należy rozumieć przez to, że najgorsza. Najgorsza jest ciągle przed nami. Ta zaś jest ostatnia, gdyż na niej kończy się cykl dotychczasowych „Twarzy Tygodnia”. Podpisujący tę rubrykę decyzją od niego tylko zależną tak postanowił i... część.

Musiąłem z twarzą skończyć, żeby jej nie stracić. Wydaje się jednak, że winien jestem czytelnikom wyjaśnienie, czym była ta rubryka i co za nią stało. Czytelnicy czytali, czytali i może nie wszystko rozumieli, więc trzeba im wytłumaczyć. Będzie to swoisty *coup de grâce*.

U podstaw tej rubryki legły dwa przekonania. Pierwsze o dyskretnym, nieciągłym charakterze czasu. Uważam, że daje się on segmentować i podawać w tygodniowych na przykład odcinkach. Drugie zaś, że każdy z tych odcinków może mieć własne oblicze, sobie tylko właściwą twarz, charakterystyczną budowę, osobnicze i osobliwe rysy.

Naukę zajmującą się rysami twarzy nazywamy fizjonomiką. Temu faktowi należy zawdzięczać, że używałem w podpisie mówiącego pseudonimu Fizjonomista. Jestem bowiem adeptem i wyznawcą tej nauki. Zaś ona sama może być uprawiana na dwa sposoby.

Po pierwsze może być częścią kryminologii. Będzie wtedy wiedzą o typach i wyrazie twarzy. Wiedza to szczególnie przydatna przy sporządzaniu rysopisów, portretów pamięciowych i wszelkich tego typu sztuczek stosowanych przez aparat ścigania. I niech nas nie odstrasza policyjny charakter tej sceny. Czymże jest bowiem refleksja nad przeszłością jak nie listem gończym za tym, co minione – założonymi i nigdy nie zamkniętymi teczkami materiałów śledczych. Zawartość jednej z nich to efekt poszukiwania straconego czasu, zawartość innej – dociekań, gdzie podziały się niegdysiejsze śniegi.

Poza tym może być fizjonomiką częścią psychologii. Będzie wtedy wiedzą o poznawaniu właściwości umysłowych i postaw uczuciowych z wyrazu twarzy. Adepti tej nauki potrafią na pierwszy rzut oka ocenić charakter przedmiotu swych zainteresowań, przewidzieć reakcje, rozpoznać intencje. Bo przyglądanie się teraźniejszości jest czymś innym niż próba prognozowania przyszłości, wywężania czym co pachnie, odczytania znaków i wróżb.

Już wielebny ks. kanonik Benedykt Chmielowski tak namawiał do pogłębiania studiów w tej miłej dziedzinie: „Kto więcej pragnie o FIZIOGNOMICZNEJ praktyce nabrać wiadomości, niech czyta całą książkę o tym napisaną, przez Jana Baptistae Porte *sub titulo: De Humana Physiognomia*, gdzie zaraz są Figury Ludzi i bestyi, zwierząt, do których ciż ludzie podobni, gdzie ich explicuje się natura; nie mało i Szentyni, Jezuita Węgrzyn, o teyże pisze *in Curiosis Selectoribus* różnych Scyencyi.”

Sam Dobrodziej Kanonik takie nam, między innymi, podaje wiadomości: „Twarze piegowate, nakrapiane, plamiste, mają podobieństwo z pstrymi tygrysami, znaczą też Czełka chytrego, sztucznego, zdradzieckiego.

Czoło małe, ciasne, świadkiem jest głupiego Czełka; Zbytecznie wielkie, leniwego; Miernej wielkości czoło świadkiem bystrogo, ostrego y obrotnego rozum.

U kogo Oczy wielkie, ten ma bydz leniuch; u kogo małe, ma bydz dowcipny, frantowaty. U kogo leniwe, powoli się obracające, *denotat* tępy w nim dowcip, y boiaźliwego serca; a prędko latające świadczą obrót, dowcip, odwagę. U kogo czarne, ten amoro w niewolnik y gorący.”

Proście, prawda. Spróbujcie Państwo sami.
Marek Karpiński

18.02 w siedzibie Pen-Clubu (Dom Literatury, Krakowskie Przedmieście) odbyło się wręczenie przyznawanej po raz pierwszy Nagrody im. Jana Strzeleckiego. Pierwszym laureatem tej nagrody został Bohdan Cywiński, o którym mówił Jan Józef Lipski, o Janie Strzeleckim – Jerzy Jedlicki. ■ S.W. „Czytelnik” szuka laureata do Nagrody im. Jarosława Iwaszkiewicza. 28.02 upływa termin zgłaszania książek do tej nagrody. Przysnaje się ją corocznie twórcy najwybitniejszego dzieła literatury współczesnej (poezja, proza, dramat, esej) lub odkrywczego dzieła z innych dziedzin humanistycznych (kultura, historia, literatura dokumentalna). Niewiele już czasu zostało, ale bądźmy dobrej myśli. ■ W jednym z ostatnich numerów „Gazety Wyborczej” przeczytałam rozpaczliwy list Tadeusza Nyczka, który zrobił trzytomowy wybór najlepszych tekstów literackich i teatralnych Jana Kotta i szuka wydawcy. Może ktoś mu pomoże? ■ 15.02 w księgarni „U Lzy” młodzi czytelnicy mogli porozmawiać z Ewą Ostrowską o jej książce *Zabić ptaka*, która w brutalny miejscami sposób pokazuje problemy wieku dojrzewania. ■ Studenci warszawskiej polonistyki przez trzy dni (11,12 i 13.02) mogli nie przychodzić do szkoły, ponieważ zajęcia zostały odwołane. Powodem było zalenie trzech sal wykładowych (a polonistyka nie ma ich wielu). Zgroza! ■ Nowojorski teatr „The Manticore Theatre” z okazji dwudziestopięciolecia istnienia wystawił *Tango* Sławomira Mrożka w przekładzie Ralpa Manheima i Teresy Dzieduszyckiej, w reżyserii Kevina Barry'ego. Spektakl podobno jest dobry, ale tekst Mrożka został przystosowany do amerykańskich realiów (?). ■ Zespół Teatru Polskiego zdecydował się na przygotowanie wspaniałej sztuki Włodzimierza Perzyskiego pt. *Szczęścia Frania*. 16.02 odbyła się premiera tego spektaklu reżyserowanego przez Bogdana Bauera. Na marzec przewidziana jest premiera *Ślubu* Witolda Gombrowicza. ■ 15, 16 i 17.02 na scenie Teatru Wielkiego można było podziwiać Polski Teatr Tańca czyli Balet Poznański pod dyrekcją Ewy Wycichowskiej. W jego wykonaniu zobaczyliśmy dzieła Czajkowskiego, Mozarta oraz rock-balet. „Nawiązaliśmy w ten sposób do tradycji sławnych spotkań u Króla Stasia, kiedy to goście w każdy czwartek mogli podziwiać obrazy Canaletta i in-

przeгляд kulturalny

nych mistrzów” – tak stoi napisane w ulotce reklamowej studia „Wir”, które zorganizowało w każdy pierwszy czwartek miesiąca pokazy swoich nowych filmów. Nie samym obiadem (czwartkowym oczywiście) człowiek żyje. ■ Krzysztof Zanussi, Wojciech Jerzy Has, Piotr Szulkin, Jiří Menzel, Peter Greenaway, Alain Resnais i István Szabó zasiadają w jury konkursu na scenariusz filmu fabularnego, dokumentalnego i eksperymentalnego pod hasłem *Współczesność w oczach młodych*. Do 30.04 można przysłać prace na adres: Fundacja Młodego Kina (organizator konkursu) ul. Mokotowska 3 m. 10. To blisko naszej redakcji. Piszemy scenariusz! ■ „Złote taśmy” – nagrody dla najlepszych filmów na polskich ekranach w 1990 roku dostały: *Ucieczka z kina „Wolność”* Wojciecha Marczewskiego (najlepszy film polski) i *Stowarzyszenie Umarłych Poetów* Petera Weira. Wyróżnienia przyznano filmom *Bagdad Café* Percy Aldona i *Niebezpiecznym związkom* Stephena Frearsa. Dom Wydawniczy Balland wydał scenariusz *Dekalogu* w formie książkowej (tłumaczenie Małgorzaty Smorag). W związku z tym Krzysztof Kieślowski i Krzysztof Piesiewicz w Instytucie Polskim w Paryżu spotkali się z intelektualistami francuskimi, którzy nie mają czego czytać. ■ Roman Polański bawi w Moskwie, gdzie występuje w amerykańskim filmie o rosyjskiej mafii. Gra rosyjskiego antykwariusza, za co dostaje 500.000 dolarów. Przypomnijmy, że ten znany reżyser i aktor zaczynał karierę grając w *Symu pułku* Katajewa. Wszystkim miłośnikom filmu przypominam, że 28.02 rozpoczynają się Konfrontacje. Karnety na ten przegląd filmowy można kupować od 18.02. ■ „Obserwator” – niezależny program informacyjny Dwójki, stworzony przez publicystów miesięcznika „Res Publica” – został 15.02 podporządkowany Dyrek-

cji Programów Informacyjnych po dwóch miesiącach samodzielnego istnienia. ■ 14.02 w Węgierskim Instytucie Kultury można było wysłuchać utworów Mozarta w wykonaniu pianistki Elżbiety Kraś-Krasztel. Koncert ten został zorganizowany na rzecz pomocy narodom republik nadbałtyckich. ■ 23-24.02 w Krakowie odbędzie się ogólnopolskie sympozjum filmu reklamowego, w trakcie którego zostanie przeprowadzony konkurs na najlepsze polskie filmy reklamowe. ■ W krakowskiej galerii „Strawberry fields” swoje surrealistyczne obrazy wystawia od 2.02 Krystian Tracz. ■ Rzeźby Marka Chlady powstałe w odpowiedzi Beckettowi („życie to tylko postacie i tło”) oglądać można w krakowskiej galerii „Krzysztofory” od 15.02 do połowy marca. ■ W krakowskim Teatrze Kameralnym 16.02 odbyła się premiera sztuki Eugène Ionesco *Król umiera czyli ceremonie* w reżyserii Krzysztofa Nazara. Mimo wysiłków aktorów (Jerzy Gralek, Aldona Grochal) i kilku dobrych scen, agonia króla przedłuża się. ■ Bestsellery tego tygodnia: Zofia Kucówna *Zatrzymać czas*, Tom Clancy *Polowanie na Czerwony Październik*, Andrzej Szczygiński *Amerkańska whisky*, Dafne du Maurier *Rebeka*. Czyżbyśmy trochę zmądrzeli?

M.M

Obserwator – jedyny dziennik w telewizji podległy wyłącznie prezesowi Radiokomitetu, został 15 lutego wcielony w strukturę Dyrekcji Programów Informacyjnych (*Wiadomości, Teleekspres, Panorama Dnia*). Damian Kalbarczyk oświadczył, że programowa i merytoryczna niezależność od DPI jest podstawowym warunkiem pozostania jego zespołu w telewizji. Szef *Obserwatora* nie interesują podporządkowania „strukturalne”, ale uważa że decyzja Marka Markiewicza, zastępcy przewodniczącego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji (podległy mu łódzki ośrodek TV odmawia współpracy u „Obserwatorem”) jest decyzją polityczną. Rozwiązania sytuacji spodziewano się podczas zapowiedzianego na poniedziałek (18 lutego) spotkania obu stron.

TYGODNIK LITERACKI PROPONUJE PAŃSTWU REKLAMĘ NA SWOICH ŁAMACH

CENA – 7 tys. zł za 1 cm²
OPRACOWANIE GRAFICZNE REKLAM – GRATIS
PROSIMY O KONTAKT LISTOWY
LUB TELEFONICZNY POD ADRESEM REDAKCJI

Zapraszamy

Szanowni Państwo,

polecamy atrakcyjne książki
wydane w ostatnim czasie przez

Oficynę TYGODNIKA LITERACKIEGO

PLEJADA

- Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą 1984-1988*
- Rok 1989. *Geremek opowiada, Żakowski pyta*

Zapraszamy do księgarń na terenie całego kraju!



NIEZALEŻNY MIESIĘCZNIK LITERACKI
WYDAWANY OD 1985 ROKU

POEZJA - PROZA - ESEISTYKA
FILOZOFIA - HISTORIA

W numerze najnowszym (listopad-grudzień 1990)
m.in. wiersze: S. MacLean, P. Berkowski, T. Tomia;
proza: T. Wolfe, L. Dymaraki; teksty: P. Śliwiński, W. Kol,
P. Czaplinski, H. Müller, R. Zimand, R. Okulew-Kozaryn.
Ponadto: C.G. Jung o kobiecie, Aneks poświęcony
twórczości Marii Komornickiej

czyli

AUTORZY ZNANI I CI
KTÓRYCH TRZEBA POZNAĆ

oraz

MIEJSCE NA TWÓJ SPRZECIW
I TWOJE POGLĄDY

Do nabycia w kioskach „Ruchu” i w księgarniach.
Adres redakcji: 80-181 POZNAŃ 47, str. pocztowa 15.

Śpiew z pożogi

Przekonawszy się o śmierci syna Stefania Baczyńska stała się bardzo religijna. Czekala na śmierć – która – jak mówiła – znowu połączy ją z synem. Czas spędzała przeważnie w łóżku, z którego coraz rzadziej się podnosiła. Dawno trapiąca ją choroba serca czyniła postępy. W liście kondolencyjnym po śmierci ojca Basi (żony poety), pod datą 4 kwietnia 1951, Stefania Baczyńska pisze: „...leżę wciż i czekam na śmierć, która dla mnie byłaby wybawieniem nie łamiąc niczyjego serca”. Pięknie oprawny tom „Śpiewu z pożogi” leżał jak Biblia na nocnym stoliku. Miała tylko jedno marzenie: żeby wydać wiersze syna. Na jej życzenie Aniela Kmita-Piorunowa podejmowała próby rozmów w kilku wydawnictwach, niestety – bezskutecznie... (wg relacji Anieli Kmita-Piorunowej).

Jeszcze w liście z 1945 roku do Kazimierza Wyki pani Stefania pisze: „...jestem b. samotna i tak bardzo nieszczęśliwa jak może być matka, której los każe przeżyć takiego syna. Czy może być na świecie okrutniejszy los?! Wobec takiego życia najokrutniejsza śmierć wydaje się wyzwoleniem...” I dalej: „W tej chwili mam u siebie zbiór poezji syna złożony w tomik przez niego samego przed Powstaniem. Ten chcę przede wszystkim wydać. Będę mogła liczyć na wydatną pomoc ojca mojej s.p. synowej, właściciela drukarni. Czy Sz. Pan nie zechciałby krótkiej przedmowy do tego tomu napisać? Czy nie udałoby się dać temu tomowi firmy Związku Literatów i Dziennikarzy?”

W rok później, w sierpniu 1946: „Piszę do Pana z głębokiej wsi, dokąd uciekłam z Anina będąc już ostatecznie roztrzęsiona nerwowo. Zabrała mnie do siebie moja dawna uczennica, która jest tu kierowniczką szkoły wiejskiej, a która spotkała mnie przypadkowo w Warszawie, kiedy wychodziłam właśnie z »Wiedzy« (...) I ostatecznie zgodziłam się na to, żeby wydała »Wiedza«...”

Zanim książka ukazała się drukiem Stefania Baczyńska wydeptała niemało ścieżek. I można rzec – przy wszystkich niesprzyjających okolicznościach – tę książkę wychodziła. Juliusz Wiktor Gomulicki, wówczas naczelnik wydziału upowszechniania w Ministerstwie Kultury, potwierdził w rozmowie ze mną, że matka nieraz przychodziła do Ministerstwa i słała listy z prośbą o przydział papieru na druk wierszy syna. I taką zgodę otrzymała. Aniela Kmita-Piorunowa, która w 1946 na prośbę matki Krzysztofa robiła korektę przygotowywanego do druku tomu, podkreśliła też znaczny udział ojca Barbary: „publikacja nie możliwa byłaby bez starań i zabiegów teścia”.

„Śpiew z pożogi” drukowano na maszynach wydzierzawionych „Wiedzy” przez ojca Basi, drukarza przecież i współwłaściciela, nie upaństwowionej jeszcze wtedy drukarni. Okładkę książki projektował Eryk Lipiński. Słowo wstępne miał podobno pisać Jerzy Andrzejewski, ale do tego nie doszło. Tom poprzedzony został „Listem do Jana Bugaja” Kazimierza Wyki, drukowanym najpierw w podziemnym „Miesięczniku Literackim”. „Pan już jest po stronie nadziei” – pisał w roku 1943 do Baczyńskiego, pod wrażeniem przeczytanych wierszy, Kazimierz Wyka.

W „Nowinach Literackich” z 3 sierpnia 1947 znaleźć można reklamę „Śpiewu”. Informowano, że książka zawiera „utwory młodego utalentowanego poety poległego w powstaniu warszawskim”... Nie wiadomo, jaki nakład miał „Śpiew z pożogi”, zapewne niewielki, skoro na druk wierszy akowskiego poety brakowało papieru. Umowa zawarta między Stefanią Baczyńską a wydawcą, mówi o co najmniej 3 tys. egzemplarzy. Ile wydrukowano – nie wiemy.

Niewiele było i recenzji.

Tę nieobecność Stanisław Lem określił jako „zmowę milczenia”, a recenzję w „Tygodniku

Powszechnym” (nr 1/1948) rozpoczął gorzką uwagą: „wiele miesięcy upłynęło od ukazania się tomu Baczyńskiego, a ani jeden poważny krytyk nie przemówił w imieniu jego poezji...”

□

W owym czasie, w miejscu Hotelu Victoria, w lokalu ówczesnego Teatru Lalkowego – działał Klub Młodych, powstały po wojnie z inicjatywy głównie młodych literatów; grupujących także artystów i naukowców, marksistów, którzy w oczach widza zdawali się pełnić rolę gospodarzy...

Były to jednorazowe imprezy – wieczory autorskie, dyskusje, w których coraz większą rolę odgrywało „ideolo” i coraz bardziej socrealistyczne. Wśród organizatorów widziało się Borowskiego, Czeskę, Gruszczyńskiego, Shuckiego, Radka (poeta estetyzujący, wyraż-

nie znalazł. A były tam takie długie lawy – widocznie w innych godzinach działał teatr lalkowy... Wystarczyło, że tylko skończyłem – odezwała się:

– Chciałabym panu najgoręcej, za to co pan powiedział, podziękować.

Zrobiłem zakłopotaną minę, bo to o czym mówiłem, wydawało mi się oczywiste... Wówczas starsza pani przedstawiła się jako Baczyńska, powiedziała, że jest ogromnie wdzięczna i podała mi rękę, mówiąc że jest matką Krzysztofa.

– Pani jest matką Krzysztofa! To ja serdecznie dziękuję pani za poparcie...

Na tym wieczorze zabrał głos Tadeusz Borowski. Stał – jak go widział Ficowski – przed prawym rzędem ławek i nie wyglądał bynajmniej jak marionetka! Z bardzo emocjonalnym zacięciem powiedział: Jedyna droga dla narodu i dla literatury jest otwarta i nie ma tam żadnych zakazów wstępu, ale kto będzie usiłował iść inną drogą, ten zostanie zniszczony...

Użyte przez Borowskiego słowo „zniszczony” natychmiast skojarzyło się Ficowskiemu z niedawnymi latami wojennymi i zawołał „Vernichtungung” – co dosłownie znaczyło zniszczenie, unicestwienie i było hitlerowskim synonimem ludobójstwa. Borowski to słowo usłyszał i jeszcze ostrzej coś powiedział.

– Mój gwałtowny sprzeciw był tym większy

Z rozmów ze Stefanią Baczyńską Kazimierz Wyka odniósł wrażenie, że matka Krzysztofa była niezwykle powściągliwa w udostępnianiu rękopisów: „zgodziła się na współpracę ze mną, ale nie pokazywała mi ani jednego rękopisu Baczyńskiego (...) tylko dawała mi odpisy sporządzone swoją ręką i jeszcze się wahała: dać?, nie dać? dać?, nie dać? Ja dzisiaj to rozumiem. Wtedy nie bardzo rozumiałem. Przypuszczam, że to po prostu pani Stefania lękała się o przyszłe uznanie dla syna. Nie wiedziała, co z jego twórczości przetrwa, nie wiedziała, co otrzyma potem stempel no, bardziej długotrwały...”

Tę powściągliwość matki poety nieco inaczej tłumaczy Aniela Kmita-Piorunowa, siostrzenica Stefani Baczyńskiej: „matka – po odnalezieniu zwłok Krzysztofa (...) musiała już uwierzyć w jego śmierć, a znajdując się w jej posiadaniu rękopisy stanowiły dla niej najdroższą i bezcenną – po nim – pamiątkę”. Stąd ostrożność. Wedle tej samej opinii: matka znakomicie orientowała się w twórczości syna i w jej wartości, o czym mają świadczyć chociażby uwagi kreślone ręką matki na marginesie kilkunastu wierszy.

□

Na fali października 1956 Wydawnictwo Literackie zwróciło się do profesora Wyki z propozy-



Tablica w bramie domu przy Bagatell 10

nie pod wpływem poetów francuskich, wysoko cenil go Paweł Hertz, drukował tę poezję m.in. w „Nurcie”... Oprócz literatów rolę współtwórców i współsterników Klubu grało również paru naukowców (Molski na przykład).

Na jednym z tych wieczorów, a rok był prawdopodobnie 1948, Jerzy Ficowski, który ledwie kilkakrotnie jako widz był w tym klubie, w toku dyskusji wystąpił przeciw agitce w poezji...

– Zabrałem głos na miarę moich ówczesnych możliwości oraz w granicach dopuszczalnych w wystąpieniach publicznych. Kwestionowałem sprawę zaprzęgnięcia poezji do działań, których nie powinna się ona podejmować, jeśli ma być sobą. Nawiązałem trawestując dawną przedwojenną wypowiedź Zawodzińskiego, nadwornego krytyka Skamandrytów, nie tolerującego poetyki ówczesnej awangardy. Był to człowiek o estetyczno-literackich poglądach, z którymi ja, zresztą wychowany na Tuwimie, się nie zgadzałem.

Opierając się na słowach Zawodzińskiego chciałem nadać im inny sens, użyć w innym celu. Jak sobie przypominam Zawodziński napisał, że samochód, choćby o najpiękniejszej karoserii, jeśli nie ma kół, nie ruszy z miejsca. Wydawało mu się, że awangarda jest takim samochodem bez kół. Ta sentencja utkwiła mi w głowie... I w tej dyskusji powiedziałem, że pomalowanie samochodu na czerwono jeszcze nie decyduje o jego jakości...

Obok mnie, siedziała starsza opani, której

– mówi Ficowski – że słowo „zniszczony” padło z ust autora świeżo przez mnie przeczytanych opowiadań oświeceniowych, który sprawom cierpienia więźniów nadawał taki wymiar, jaki był dotychczas niespotykany w literaturze...

Borowski już się więcej do mnie nie odezwał. Po tym okresie wstąpił w szranki publicystyki – jeśli ktoś mówił, że bojowej, to ja powiedziałbym – bojówkarskiej, apodyktycznej, groźnej w tonie i groźnej w treści. Na terenie Związku Literatów nie poznał mnie, przechodził z wyrazem świadczącym o mojej nieobecności, co mnie nie dziwiło, bo nie miałem z nim nic wspólnego...

□

Kiedy Stefania Baczyńska pogodziła się już z myślą, że nie doczeka nowego wydania wierszy syna, niedługo przed śmiercią – zmarła 15 maja 1953 roku – pokazała siostrzenicy paczki zawierające rękopisy i wyraziła swoją ostatnią wolę: aby przechowywała te paczki (nie otwierając przedwcześnie!) i opublikowała, gdy to się stanie możliwe.

Wedle ostatniej woli matki poety opiekunami spuścizny i egzekutorami testamentu zostali: Jerzy Andrzejewski, Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Turowicz oraz Kazimierz Wyka, który tak ten fakt skomentował: „Właściwie z tych czterech osób tylko ja miałem czas, ażeby się tym zająć. Turowicz robi swoje pismo katolickie od lat i politykę; Jerzy Andrzejewski swoje utwory, żaden z nich nie jest edytorem”.

cją wydania utworów zebranych Baczyńskiego. Nakład planowano ledwie na 5 tys. egzemplarzy, obawiając się ryzyka finansowego!

Jeszcze w trakcie pracy edytorskiej wydawnictwo zaskoczono było objętością tomu, który rozrastał się z dnia na dzień – odnajdywano nowe wiersze. Zaskoczony był sam profesor Wyka („rozmiar twórczości Baczyńskiego mnie zaskoczył całkowicie”). Kto spodziewał się, że tylko w czasie ośmiu miesięcy, od września 1941 do kwietnia 1942, napisał Baczyński około stu wierszy! Któż w ogóle podczas wojny, oprócz paru osób, wiedział, że Krzysztof pisze wiersze. Zaskoczona była i Aniela Kmita-Piorunowa, współautorka opracowania „Utworów zebranych”.

– Chociaż w tych latach spotykaliśmy się z Krzysztofem, to jednak mało, a właściwie prawie nic nie wiedziałam o powstających wtedy poezjach. Nie byłam na żadnym z wieczorów, tak jak nie wiedziałam o jego udziale w konspiracji; nie wiedziałam, bo i matka niewiele wiedziała...

Sukces edycji „Utworów zebranych” przeszedł wszelkie oczekiwania i zaskoczył wszystkich. Książka z miejsca stała się bestsellerem.

„Mówię całkiem serio (to słowa Kazimierza Wyki): nie spodziewałem się w żadnym wypadku takiej kariery społecznej i takiej kariery czytelniczej tego młodego poety”. W niejednej rozmowie padało bowiem jedynie to, że trzeba ocalić od zapomnienia.

dokończenie na s. 5

Marcin Król

Bardzo wścibski starszy gość (3)

Rozumiemy motywy, które skłoniły Audena do wyjazdu do Ameryki. Musiało jednak zdarzyć się coś więcej, aby możliwe stało się wskazanie tych właśnie kierunków poszukiwań: świata na ludzką miarę, wolnej samotności, Pana Boga. Otóż w połowie życia, w wieku 33 lat Audenowi zdarzyły się niemal równocześnie trzy bardzo ważne rzeczy: Ameryka, miłość i konwersja.

Wprawdzie wyjazd do Ameryki z Isherwoodem był umotywowany najzupełniej racjonalnie, ale dopiero po przybyciu do Nowego Jorku a potem po rozpoczęciu wojny, do której przecież Anglia teoretycznie natychmiast przystąpiła, Auden zdał sobie sprawę, że jego wyjazd musi być zauważony, że jego sprawa stanie się „sprawą” dla angielskich intelektualistów, że słowem: nie da się wykręcić sianem i pozostać w prywatności. Wobec tego spróbował odpowiedzieć na zarzuty a jednocześnie poważniej i bardziej zasadniczo roztrząsał racje swojej decyzji.

A zarzuty oczywiście były i to poważne. Wyobraźmy sobie jak oceniono by tego rodzaju postępek w Polsce. Przecież przez lata oburzano się na Witolda Gombrowicza, który przypadkiem znalazł się po wybuchu wojny w Argentynie i może nie bardzo palił się do wstąpienia do polskiego wojska. W sprawie Audena doszło nawet do interpelacji w Izbie Gmin, ale głośniejsze było oburzenie środowiska literacko-intelektualnego. Auden wiosną 1940 roku udał się więc do ambasady Wielkiej Brytanii w Stanach Zjednoczonych i zgłosił swoją gotowość do wstąpienia do armii, kiedy jednak odpowiedziano mu, że potrzebni są jedynie ludzie o wykształceniu technicznym, przestał na pewien czas myśleć o całej sprawie. Mniej więcej w tym samym czasie obszerniej wyjaśnił swoją decyzję w liście do E.R. Doddsa: „Wróciłbym do Anglii, gdyby ktoś mnie przekonał, że pisarz o moim gatunku uzdolnień może tam coś ważnego zrobić, coś co może być zrobione tylko w Anglii i co jest warte zniszczenia mojego prywatnego życia. Nie jestem ani politykiem ani powieściopisarzem, nie jestem też reporterem. Gdybym wrócił, to – jak sądzę – robiłbym to samo, co tutaj, to znaczy czytał, pisał i uczył. Przyjechałem tu z zamiarem osiedlenia na stałe. Jestem sceptyczny co do wartości pisarza dla prowadzącego wojnę kraju, ale oczywiście mogę się sam zwodzić.”

Do stanowczo wypowiedzianych, ale znanych nam argumentów doszedł jeszcze jeden: życie prywatne. Należy tu powiedzieć kilka słów na tematy zazwyczaj w Polsce z daleka omijane. Nie będziemy zresztą w tym przypadku kierowali się podziwem dla pisarza, ponieważ Auden miał nieprzyjemną (zapewne defensywną w istocie) manię otwartości i debatowania technicznych aspektów homoseksualnego współżycia seksualnego. Ponadto – jak się zdaje – mało uwagi zwracał na tę konsekwencję swojej „orientacji”, która dopiero z czasem okazuje się tak poważna: brak własnej rodziny. Toteż, kiedy po kilku miesiącach od przyjazdu do Nowego Jorku poznał Chestera Kallmana, miłość, głęboka i poważna miłość oraz potrzeba życia wspólnego, potrzeba posiadania domu. Chester Kallman miał wówczas niecałe dziesięć lat, był bardzo inteligentnym, pewnym siebie i ślicznym chłopcem. Aby już nie wracać do tego

tematu powiedzmy, że mimo kłótni, zazdrości i niepokojów Auden i Kallman związali się na całe życie. Kallman umarł w kilka miesięcy po śmierci przyjaciela, a także w zakresie inteligencji i sztuki nie był to związek jednostronny. Chester Kallman był niezłym poetą, błyskotliwym rozmówcą i świetnym znawcą muzyki a zwłaszcza opery, do której zachęcił Audena, co miało przynieść poważne artystyczne i intelektualne konsekwencje, a przede wszystkim kilka wspólnie przez nich napisanych librett operowych, wśród nich „Rake's Progress” do muzyki Strawińskiego.

Intensywne uczucie oraz zazwyczaj towarzyszące mu komplikacje, niepewność i świadomość nieuchronnej odległości od ideału, od realizacji, od doskonałości uzmysławiają lepiej i szybciej niż stosunkowo łatwe wloty wyobraźni właśnie ów ludzki wymiar świata, ludzką miarę.

W każdym razie Auden w połowie życia niespodziewanie musiał zdać sobie sprawę z dwu ograniczeń, co dla człowieka tak

Sprawa stała się jasna w sposób dość nieoczekiwany. W listopadzie 1939 roku Auden poszedł do kina w Yorkville, przeważając niemieckiej części Manhattanu, na dokumentalny niemiecki film „Sieg im Poland”. Kiedy na ekranie pokazywali się Polacy, ku jego zdumieniu, z sali padały okrzyki „Zabić ich!” Auden napisał potem: „Zacząłem się zastanawiać dlaczego tak silnie zareagowałem na to odrzucenie wszystkich wartości humanistycznych. Odpowiedź na to pytanie zaprowadziła mnie z powrotem do kościoła”. Z powrotem znaczyło do kościoła anglikańskiego.

Pamiętamy jak silnie oddziałal na Audena widok zamkniętych kościołów w Barcelonie. Za każdym razem – sytuacje takie miały się jeszcze w życiu Audena powtórzyć – silna reakcja intelektualna jest poprzedzona doznaniem zmysłowym. W jednym z listów do Spendnera Auden pisał, że o ile intelekt i intuicja są jego silnymi stronami to uczuciowość i wrażliwość na doznania zmysłowe – zdecydowanie słabymi, że pod tym względem czuje się często niedojrzały. Na pierwszy rzut oka: dziwne to cechy u wielkiego artysty, ale nie nam sądzić o tym. Zdumiewająca jest natomiast samokontrola Audena: zawsze podejrzliwy wobec czysto intelektualnych rozstrzygnięć, reagował dopiero po przepuszczeniu faktycznego, konkretnego doznania przez swoją grubą uczuciową skórę. Reakcja bardzo szybko przyjmowała czysto intelektualny kształt, ale u początku musiało być owo doznanie, bardzo silne doznanie, na tyle silne, że wywoływało zdumienie Audena nieprzywykłego do bodźców ze świata pierwotnego, a już na pewno do tego, że mogą one wywierać tak mocny wpływ.

szarom sztuki. Zaś lekceważenie intelektu i intuicji (pojmowanej jako siła poznawcza, a nie pozaracjonalna) dawało poezję (sztukę) łatwą, lekką i przyjemną w najlepszym razie. Jeżeli piękno i dobro są tajemnicą, tak jak tajemnicą jest Prawda – Bóg, to rolę intelektu doskonale oddają zdania cenionej wysoko przez Audena Simone Weil: „Inteligencja nie może skontrolować samej tajemnicy, posiada jednak całkowitą władzę kontroli na drogach, które ku niej w górę idą, i na drogach, które od niej w dół schodzą. Pozostaje więc ona najzupełniej zgodna z sobą uznając istnienie w duszy zdolności wyższej niż ona sama i prowadzącej myśl ponad jej, inteligencji, sferę. Ta zdolność jest to miłość nadprzyrodzona.”

Tak więc i w przypadku powrotu do kościoła Auden posuwał się drogami torowanymi przez inteligencję. Od tego ostrego doznania w kinie w Yorkville coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że tylko religia dostarcza odpowiedzi na niektóre kwestie, z jakimi się borykał w spadku po „a low dishonest decade”. W 1940 roku napisał już zdecydowanie, może nawet nazbyt zdecydowanie: „Cały wysiłek myśli liberalnej zmierzał do podważenia wiary w absolut... Do uczynienia rozumu jedynym sędzią... Ale ponieważ życie ma charakter procesu, próba znalezienia humanistycznej podstawy dla dotrzymywania obietnicy kończy się logicznym wnioskiem: Mogę złamać obietnicę, kiedy będzie mi to wygodne”. I w tym samym czasie powiedział do Golo Manna: „Angielscy intelektualiści, którzy wzywają niebios przeciwko złu wcielonymu w Hitlera, nie mają niebios, do których mogliby się kierować.” Zwrot ku religii rozpoczął się więc od całkowicie rozumowego poszuki-



HOCKNEY, Gregory, Arizona Baltimore, 1976



HOCKNEY, Gregory in bed, Hollywood, 1976

zawsze pewnego siebie, zawsze przewodzącego i narzucającego ton, tak już znanego i akceptowanego, od wczesnej młodości „bystrzejszego od innych” było zdarzeniem bardzo istotnym. Najpierw znalazł się sam – prawda, że z własnego wyboru – w Ameryce i okazało się, że nie da się kroku takiego zrobić ot tak po prostu, że jednak trzeba się niechętnemu światu opowiedzieć. I wkrótce potem samotność z wyboru stała się samotnością cierpienia uczuciowego. Okazało się, że nawet Auden może nie być ceniony i nie być kochany i to przez ludzi, na których naprawdę mu zależało. Łatwiej teraz rozumiemy radość Audena z dobrych chwil spędzonych w domu Elizabeth Mayer – ciekawe, że odtąd Auden przyjaźni się najczęściej już nie z kolegami poetami, lecz z małżeństwami, z ich dziećmi, z domami – łatwiej też zrozumieć elementarne motywy powrotu do religii.

Rzecz jest warta zastanowienia. Przeczy bowiem naszym potocznym i stereotypowym poglądom na to, że artysta ma szczególnie cienką skórę, że jest obdarzony nadzwyczajną wrażliwością i łatwością uczuciowo-zmysłowych reakcji. Takie wyobrażenia mają oczywiście romantyczny rodowód i w tym sensie Jean-Jacques Rousseau był preromantykiem. Jednak łatwość uczuciowych i zmysłowych doznań, antyracjonalistyczne wyczulenie romantyzmu stanowią fragment fałszywego, chociaż trwałego stereotypu. Wezwanie romantyczne sprowadza się w gruncie rzeczy tylko do obowiązku takiej właśnie drogi twórczości, drogi rozpoczynającej się od silnej reakcji uczuciowo-zmysłowej na „świat pierwotny”, na jakiś konkretny jego objaw, nie sprowadza się natomiast do ekspresji stanów uczuciowych. Częste w tej mierze nieporozumienie przynosiło niedobre skutki rozległym ob-

wania absolutnych podstaw dla moralności.

Sam Auden zdawał sobie z tego doskonale sprawę. W „New Year Letter” cytował sławną maksymę św. Anzelmia „Credo ut intelligam” i można sądzić, że myślał właśnie o sobie. Wierzę aby zrozumieć – jakąż postawą może być dalsza od dramatycznych i romantycznych konwersji, jaka bardziej racjonalistyczna? Auden postępował też zgodnie z rozwojem własnych poglądów. Najpierw zaczął wpadać do kościoła – jak mówił – „jakby na próbę i eksperymentalnie”. Potem, od 1941 roku chodził już regularnie w niedzielę na mszę, ale wcześniej rano, żeby uniknąć kazania. Odmawiał rozmów na temat wiary, na temat istnienia Boga, uważał je za bezsensowne, natomiast wiele czasu i wiele stron będzie odtąd poświęcał na rozważania konsekwencji wiary dla kultury. Aby z tym skończyć zacytujemy większy fragment kazania, jakie



HOCKNEY, Gregory Asleep, Sunday Inn, Houston, 1976

Auden wygłosił 16 października 1966 roku w Westminster Abbey: „Ci spośród nas, którzy mają odwagę nazywać się chrześcijanami, powinni być ogromnie wstrzeźliwi w tej kwestii. Przecież niemal do definicji chrześcijanina należy to, że wie on, że nie jest dobrym chrześcijaninem, i to ani w zakresie wiary ani w zakresie moralności. Jeżeli chodzi o wiarę, to tylko nieliczni mogą powiedzieć coś ponadto, że – posługując się sformułowaniem Simone Weil – »Wierzę w Boga, który jest Bogiem Prawdy pod wszystkimi względami, tyle że nie istnieje, bowiem nie osiągnąłem jeszcze punktu, kiedy Bóg istnieje«. Jeżeli chodzi o miłowanie i przebaczenie naszym nieprzyjaciółom, im mniej się o tym mówi, tym lepiej. Nasz brak wiary i miłości stanowi fakt, który trzeba uznać, lecz nie staniemy się lepsi dzięki ponuremu lub narcystycznemu pojękiwaniu nad naszą niedoskonałością. Zapytajmy się raczej, z ostrożnością i humorem, co – w tym czasie, miejscu i takie a takie mając zdolności, mogliśmy – gdyby nasza wiara i miłość były doskonałe – z radością uczynić?»

Pierwsze lata wojny spędzone w Ameryce to okres intensywnej pracy i również intensywnego nauczania w kilku college'ach, w których do dzisiaj przetrwała pamięć wymagającego i ekscentrycznego profesora. Auden stosował raczej nieortodoksyjne metody: kazał na przykład studentom opisać szczegółowo miniony dzień ale od tyłu do przodu, dawał im też odpsy dobrych wierszy z opuszczonymi słowami i całymi liniami do uzupełnienia. Jednak mimo związku z Chesterem Kallmanem lata wojny były latami samotności i cierpienia, Auden nie mógł się pogodzić z niewiernością Chestera, który cenił i kochał przyjaciela, ale nie miał najmniejszego zamiaru przestrzegać „monogamii”. I mimo to, a raczej dzięki temu, jak twierdził sam Auden, w tych latach powstaje kilka wspaniałych utworów: trzy długie poematy – „New York Letter”, oratorium bożonarodzeniowe „For the Time Being” i znakomity komentarz wierszem do „Burzy” Szekspira „The Sea and the Mirror” oraz kilka sławnych krótkich wierszy: „Voltaire at Ferney”, „In Memory of Sigmund Freud” i nieporównane „Leap Before You Look” oraz „If I Could Tell You”. Miłość do Chestera Kallmana i problemy związane z boską obecnością w świecie są tu nierozdzielnie przemieszane. „Leap” – to przecież „skok” Kierkegaarda, skok od zwątpienia do wiary.

Auden we wstępie do „Sonetów” Szekspira rozważał wpływ nieznanych nam lecz niewątpliwych cierpień uczuciowych Szekspira na jego poezję, wyrażał sceptycyzm wobec nazbyt łatwych deklaracji miłości a zwłaszcza miłości spełnionej i kończył niewątpliwie autobiograficzną uwagę: „Czy Szekspir poczuł później, że cierpienie nie było nazbyt wysoką ceną za wspaniałość uzyskanej dzięki niemu wizji? Mam taką nadzieję i jestem o tym przekonany.

Tak czy owak, poeci są twardzi i potrafią korzystać z najokropniejszych doświadczeń.”

★ ★ ★

Od 1940 roku do końca życia inteligencja Audena będzie krążyła wokół zależności między światem pierwotnym i wtórnym, wokół prób reintegracji człowieka, przywrócenia związku między „działaczem” i „stwarzaczem”, zatem wokół problemu prawdy, ale w latach czterdziestych Auden przypatrywał się w szczególności relacjom między miłością, sztuką i chrześcijaństwem. W krótkim szkicu „Chrześcijaństwo i sztuka” Auden jasno odróżnia trzy rodzaje społeczeństw i odpowiednio trzy odmienne sytuacje artysty. „Sztuka jest do pogodzenia z politeizmem i z chrześcijaństwem, ale nie z filozoficznym materializmem; nauka jest do pogodzenia z filozoficznym materializmem i z chrześcijaństwem, ale nie z politeizmem. Żaden jednak artysta ani uczony nie czuje się całkiem dobrze jako chrześcijanin, każdy artysta, który jest także chrześcijaninem chciałby być politeistą, każdy uczony – filozoficznym materialistą. I nie bez powodu. W politeistycznym społeczeństwie artyści są jego teologami, w materialistycznym – uczeni. Dla chrześcijanina niestety zarówno sztuka jak i nauka są czynnościami świeckimi, to znaczy małym piwem.” Dzięki temu jednak, dzięki temu że w społeczeństwie chrześcijańskim sztuka należy do domeny tego, co cesarskie, artysta jest w nim wolny. „Nie możemy dysponować wolnością bez posiadania prawa do nadużywania jej.” „Nie ma chrześcijańskiej sztuki, tak jak nie ma chrześcijańskiej nauki czy diety. Istnieje tylko chrześcijański duch, w którym artysta lub uczony pracuje. Obraz Ukrzyżowania niekoniecznie jest bardziej chrześcijański w duchu niż martwa natura, a bardzo często jest właśnie mniej chrześcijański”. Ponieważ wyobraźnia jest wrodzoną zdolnością, to działa niezależnie od tego, w co człowiek wierzy. Wiara może wywierać wpływ dopiero na sposób interpretowania dostarczanych przez nią danych. W ramach ortodoksji chrześcijańskiej istnieją dwa możliwe, oba lekko hereetyckie sposoby interpretowania danych wyobraźni. Pierwszy bliski jest neoplatonizmowi: „To co pobudza we mnie poczucie świętego zachwyty stanowi drogę, gdzie mnie jako jednostkę i jako członkowi danej kultury objawiana jest świętość, której nie mogę postrzegać bezpośrednio”. Drugi natomiast panteizm: „Wszystkie przedmioty, istoty i zdarzenia są święte, lecz na skutek moich indywidualnych i kulturowych ograniczeń, moja wyobraźnia dostrzega tylko nieliczne”. Auden sam się opowiadał oczywiście – oczywiście, bo jakże inaczej mógłby myśleć poeta – po stronie „herezji” panteistycznej. Wszelako przed innymi jeszcze wyborami i wobec innego losu znajduje się artysta w społeczeństwie religijnego materializmu. Artysta traci tam swoją wolność a nie staje się teologiem, ponieważ prawdziwą wiarę formują „naukowi” politycy. Pod ich rządami „artysta staje się po prostu technikiem, ekspertem w zakresie trafnego wyrażania, który jest wynajęty do trafnego wyrażania tego, co naukowy polityk uważa, że ma być powiedziane.”

(odn)

Śpiew z pożogi

dokończenie ze s. 3

Powodzenie „Utworów zebranych” z roku 1973 (50 tys. egz.) znówu przerosło oczekiwania. Profesor Wyka sądził, że taki nakład starczy na parę lat – rozszedł się bardzo szybko!

Występując w roku 1974 w Pen-Clubie profesor, już jakby przed śmiercią sporządzając rachunek, zsumował: „...cośmy dla tego poety zrobili? Dwukrotne pełne wydanie, to znaczy to jednotomowe z 1961 roku i dwutomowe z 1970. Z tym, że (...) żadne z tych wydań nie jest pełne. Pierwsze nie jest pełne z przyczyny, że nie wszystkie teksty były wtedy dostępne. Drugie zaś wydanie nie jest pełne, ponieważ brakuje w nim jednego bardzo zabawnego utworu Baczyńskiego (...)z powodów, jak by to powiedzieć, pozamerytorycznych, nie związanych z decyzją wydawców, tylko z decyzjami innymi, tak jak, powiedzmy, w pierwszym wydaniu powojennych „Dzień” Słowackiego, robionym przez Ossolineum, brakuje...” Z dalszego wywodu wynika, że chodzi o list Słowackiego do Adama Czartoryskiego. „Dlaczego i jak – komentuje profesor – mógł ten list Słowackiego zagrozić ustrojowi naszego państwa około roku 1950, nie podejmuję się w najsmielszych marzeniach odgadnąć!” Tak samo profesor Wyka dziwił się, dlaczego z drugiego wydania „Utworów zebranych” Baczyńskiego usunięto wiersz zatytułowany: „Do Pana Józefa w dniu imienin 1942 roku”. (Wiersz ten znalazł się na powrót w trzecim wydaniu).

□

Już w roku 1974 profesor Wyka alarmował w sprawie honorariów za książki Baczyńskiego:

„Na koncie zamkniętym – jako egzekutor testamentu – mam tych pieniędzy 217 tysięcy 039 złotych i coś tam groszy. 217 tysięcy, prawda. I od wielu lat my nie możemy tknąć tego, chociaż jest wyraźny przykaz testamentu matki, ażeby to były stypendia rozdzielone między młodych poetów. Tak! Rozdzielić oczywiście należałoby wszystko. Ileż ja już nie wymieniałem listów z Zarządem Głównym Związku Literatów, uzgodniliśmy tę ostatnią listę, kto ma dostać, uzgodniło się tych dziesięć nazwisk, żeby ten zastrzyk pieniędzy coś znaczyl, i wciąż sprawa odwleka się, odwleka się!”

W aktach ZLP znalazłem tego śladu: Protokół z posiedzenia Prezydium Zarządu Głównego, 26 stycznia 1973 r. Obecni: Prezes – Jarosław Iwaszkiewicz, wiceprezesi – Halina Auderska, Jerzy Putrament, sekretarz Jan Maria Giges, skarbnik Janusz Krasinski, oraz: Zbigniew Herbert, Jan Koprowski, Jan Józef Szczepański, Maria Szybowska, Władysław Terlecki, Witold Zalewski, Zbigniew Załuski i dyr. Jerzy Matulewicz. W punkcie „wolne wnioski” zapisano co następuje: „Propozycje kol. Kazimierza Wyki dotyczące podziału sumy spadkowej po Krzysztofie Baczyńskim na jednorazowe stypendia i kryteria wyboru stypendystów wywołały dyskusję, w wyniku której Prezydium prosi kol. Szczepańskiego o zaproponowanie kol. Wyce spotkania z prezesem Iwaszkiewiczem przy najbliższej jego bytności w Warszawie”.

Kolejne posiedzenie – 6 kwietnia 1973. Punkt 7: List prof. Kazimierza Wyki. Sprawa stypendium im. K. Baczyńskiego. „Prezydium prosi kol. Zb. Herberta o wytypowanie 10 nazwisk poetów, którym należałoby przyznać stypendium (po 20 tys. zł) z sumy spadkowej po K. Baczyńskim. Ostateczną decyzję podejmie prezes Iwaszkiewicz”.

11 sierpnia 1973 – „w związku z nieobecnością w kraju kol. Herberta nie zostały ustalone nazwiska kandydatów do stypendium im. K. K. Baczyńskiego. Należy o tym powiadomić kol. K. Wykę i przeprosić go, że sprawa się odkłada”.

19 października 1973 w punkcie „wolne wnioski” zapisano, że „kol. Herbert zobowią-

zuje się przedłożyć prezesowi Iwaszkiewiczowi w ciągu tygodnia listę 10 kandydatów na stypendia z funduszu pośmiertnego po K. K. Baczyńskim”.

18 stycznia 1974: „W związku z zakwalifikowaniem dziesięciu poetów (lista imienna w aktach ZLP) Prezydium zaleciło powiadomić pozostałych członków Komitetu Spadkowego tj. kol. kol. Jerzego Andrzejewskiego i Jerzego Turowicza w celu uzyskania ich formalnej zgody”.

Na tym trop się urywa. Jakby o całej sprawie zapomniano...

24 marca 1974 roku profesor Wyka wygłosił w Pen-Clubie cytowane wyżej przemówienie. Zwracając się o pomoc do Zarządu Pen-Clubu mówił: „Honoraria za utwory Baczyńskiego dawno przestały napływać, prawo autorskie już ich nie chroni (...). Wiadomo, że waluta Polski Ludowej jest absolutnie niewzruszalna, ale te 217 tysięcy złotych to nie jest to, co było dziesięć lat temu, to nie jest to. To trzeba jak najszybciej wydać. Znaczy po prostu, żeby pociśnąc mocniej Zarząd Związku, żeby już to wreszcie wydali, te pieniądze, nie żeby one leżały wciąż na koncie zamkniętym”

Z powodów – których możemy się tylko domyślać – sprawa nie doczekała się finalizacji. Zaprzepaszczono cenny kapitał i nie wypełniono woli matki poety...

Starania w tej sprawie – jak mi wiadomo m.in. z rozmów z p. Piorunową – czynione były również po śmierci profesora Wyki, w okresie posierpniowym. Wiem, że w pewien sposób zaangażowany był w tę sprawę Zbigniew Drapczyński, brat Barbary Baczyńskiej, prawnik z wykształcenia. Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy jesienią 1981 (zmarł wkrótce) wspominał o zabiegach w sądzie.

Pewną sumę, około 30 tysięcy złotych, profesor Wyka chciał swego czasu przeznaczyć na fundację kapliczki w Bukowinie Tatrzańskiej, gdzie Krzysztof przed wojną przebywał na wakacjach. Nie udało się uszczknąć choćby i tego.

Na stypendia nie wydano ani złotówki...

Aż w końcu – co warte teraz te 200 tysięcy! I niedysiejsi kandydaci do stypendium: Szymborska, Barańczak – dawno wyrosli z młodzieżowego wieku; Białoszewski nie żyje...

Nigdy nie wypełniono woli matki!

□

Pytania o zmarnowane pieniądze kierowałem w latach 1987-88, wzywając do wyjaśnień – w pierwszym rzędzie byłych prominentów Iwaszkiewiczowskiego ZLP, następnie – rodzinę poety, która – jak zaznaczyłem – nie powinna w tej sprawie milczeć. Wystąpiłem też z propozycją reaktywowania stypendium na nowych zasadach pod przewodnictwem Jerzego Turowicza. Ze strony dawnego Zarządu Literatów – odpowiedzi nie było i nikt się nie wytłumaczył. W imieniu rodziny na moje zapytania listem do „Życia Warszawy” odpowiedziała p. Aniela Kmita-Piorunowa. Przytaczam istotne fragmenty:

„Zgodnie z testamentem matki poety, Stefani Baczyńskiej, sporządzonym przez nią na parę miesięcy przed śmiercią: „wszystkie ewentualne honoraria za drukowane prace niezżytych – męża, Stanisława Baczyńskiego i syna Krzysztofa Baczyńskiego, przekazuję na stypendium imienia Krzysztofa Baczyńskiego dla młodego poety lub pisarza. Wyboru dokona jury, które rozstrzygało już w pierwszym przypadku przekazania sumy zł 100000 w roku 1948 na ten sam cel”, a złożonego z literata – Jerzego Andrzejewskiego, literata Jarosława Iwaszkiewicza, redaktora Jerzego Turowicza i profesora Kazimierza Wyki (...)”

I to było, niestety, jedyne honorarium imienia Krzysztofa Baczyńskiego, wypłacone zgodnie z testamentem jego matki. Mimo wielokrotnych zabiegów i starań Kazimierza Wyki, który niemal do końca życia podejmował

Śpiew z pożogi

dokończenie ze s. 5

starania o wypłacenie osobom na to zasługującym przyznanego im honorarium, pozostali zaproszeni do udziału w sprawie nie zareagowali (...) Zebranie w Pen-Clubie odbyło się – 27 marca 1974 roku. 19 stycznia 1975 r., a więc w niespełna rok po tym zebraniu, Kazimierz Wyka, jedyny człowiek, który podchodził do omawianej sprawy z prawdziwym zaangażowaniem, zmarł.

I w ten sposób sprawa się zamknęła, zwłaszcza, że odeszli również dwaj dalsi członkowie proponowanego przez Stefanię Baczyńską zespołu – Jarosław Iwaszkiewicz i Jerzy Andrzejewski (...) Pieniądze, które nie zostały spożytkowane tak, jak życzyła sobie tego Stefania Baczyńska, istotnie zostały zmarnowane. Ale sprawa jest już teraz nie do naprawienia: w Związku Literatów, który według życzenia matki poety miał te pieniądze rozdzielić, zasiadają teraz zupełnie inni ludzie, a co najważniejsze – nie ma czego rozdzielać, bo pieniądze dawno już padły ofiarą inflacji! (...) Tłumacząc fakt zmarnowania pieniędzy, układem niefortunnych sytuacji p. Piorunowa pisała:

„Moim zdaniem najważniejsze jest dziś to, że poezja Baczyńskiego ukazuje się od wielu lat – i będzie się ukazywała nadal; że zdobyła sobie setki tysięcy miłośników; że jego życiorys znany jest szeroko w kraju i za granicą, zyskując mu z roku na rok coraz więcej wielbicieli; że corocznie przybywa w kraju szkół, których uczniowie za największy zaszczyt poczytują sobie nazwanie ich uczelni imieniem Krzysztofa Kamila Baczyńskiego”.

Tyle Aniela Kmita-Piorunowa. Ale – i tu powstaje sprawa – czy nie należała się choćby symboliczna satysfakcja tym, którzy mieli to stypendium otrzymać, a nie otrzymali z przyczyn, nazwijmy to: pozaliterackich – satysfakcja choćby w postaci opublikowania pełnej listy kandydatów? Druga rzecz: nie wiemy, kto jest odpowiedzialny za zmarnowanie pieniędzy (i nie tylko pieniędzy). Wiadomo, że wszystkie nagrody, stypendia itp. zatwierdzano poza siedzibą ZLP i w rzecz uwikłani byli jacyś urzędnicy wyższego szczebla.

Czy to też ma ująć w mroki? Niestety, jak dotąd, uchodzi...

Trop urywa się z chwilą ustalenia i zatwierdzenia przez ZLP listy kandydatów. Zapodziały się gdzieś (sic!) niektóre dokumenty: w aktach ZLP nie ma nawet nazwisk niedoszłych stypendystów. Brak korespondencji Kazimierza Wyki...

□

Jerzy Turowicz, którego w r. 1987 zapytałem w tej sprawie, odpisał m.in.: „Zgadza się z Panem, że sprawę honorariów za twory K. K. Baczyńskiego i stypendium jego imienia należałoby wyjaśnić do końca. Niemniej z różnych względów sprawa jest więcej niż trudna...” W rozmowie ze mną red. Turowicz ujawnił, że w 1980 zwracał się do Jerzego Andrzejewskiego; był również z Leszkiem Prorokiem (występującym z ramienia ZLP) w sądzie. Niestety, szczegóły tych starań zatarły się w pamięci a Leszek Prorok już nie żyje, więc nie ma kogo pytać.

Nie znany numer konta, nie dostępne akta...

Wiesław Budzyński

Fragment książki o K. K. Baczyńskim złożonej do druku w Wydawnictwie „Słowo”.

¹ Wypowiedź prof. Wyki w Pen-Clubie wg: Kazimierz Wyka „List do Jana Bugaja. Droga do Baczyńskiego”, PIW 1986

² Tamże

³ W 1948 stypendium imienia K. K. B. otrzymał Tadeusz Różewicz. Były to pieniądze za wydany w roku 1947 „Śpiew z pożogi”.

Cztery lata temu Jan Błoński przedstawił na łamach „Tygodnika Powszechnego” kilka intuicji czy też wizji diabła w polskiej literaturze powojennej. Diabeł, którego w tej spóźnionej cokolwiek glosie do szkiców Błońskiego pragnę przypomnieć, jest wprawdzie diabłem „przedwojennym”, niemniej wydaje mi się, że z uwagi na zawsze i wciąż aktualną diabelską problematykę okaże się diabłem interesującym. Oddzielna sprawa, to przysypywanie piaskiem zapomnienia, dzieł literackich, w których, niczym w zakorkowanych fiolkach, diabły się znajdują. Myślę tu o *Kawalerach księżycy* (1924) Jana Stanisława Mąra (1877-1942), powieści, która wraz z *Łowem* (1927) tegoż autora mogłaby tylko uświetnić ewentualną serię wydawniczą o tajemnicach Warszawy. Są to powieści bardzo warszawskie, świetnie napisane (wysocce artystyczne wykorzystanie żargonu złodziejskiego), a nadto frapujące egzotyką przestępczego środowiska Powiśla i Woli. Co jednak naprawdę godne w nich podniesienia, to wpisana w peryferyjne tajemnice miasta niedocieczona tajemnica grzechu, winy oraz właśnie zła absolutnego.

Wcielaniem zła absolutnego jest w *Kawalerach księżycy* niekoronowany król Woli Piotr Lewandowski, zwany Dziobakiem, „chłop o potężnie przerosłych barach, sparty na dwu żelaznych filarach nóg, masywny kolos”. Analogii do opisu Lucyfera z *Boskiej Komedii*, któremu wtopione w lód nogi również zapewniają pewne i statyczne wsparcie, jest tutaj więcej. I tak trzem obliczom cesarza piekiel, różniącym się kolorem, odpowiadają w postaci Dziobaka dwa psowizwierzęce: „olbrzymi, ciężki chłop o tłuście ulmskiego doga z twarzą pochłastaną ospą w zlewające się blizny, czarniawą, wągrowatą, cygańską”. Wtóry leśb, formalnie, anatomicznie, by tak rzec, przynależny buldogowi Cwajowi, nieodstępnemu towarzyszywi bandyty, w istocie stanowi własność Dziobaka: „walcowata ta bestia o strasznych nalanych krwią białkach, o potwornym prognatycznym pysku”. Człowiek i zwierzę, zgodnie z diabelską topiką, tworzą całość, są nieodrębni, zespoleni, dwujedni: „Przestępując ciężko z łapy na łapę, walil tuż za panem, prawie że dotykając rozdwojonym wilgotnym nosem prawej jego nogi”.

Studium koszmarnego „psomeża” znajduje pogłębienie w języku. W zasadzie Dziobak milczy, nie mówi bowiem żadnym ludzkim językiem. Mówiąc stajemy się zrozumiali, przenosimy się do powszechności, a jak może dać się zrozumieć zło absolutne? Toteż Dziobak tylko w rzadkich chwilach wymusza z siebie krótkie, kalekie i urywane zdania, które kończy stale jednakimi słowami: «Ja i Cwaj oba cwaj!» „Nikt nigdy – dodaje narrator – nie wyrozumiał stosunku słyszanej treści do tego stałego jej zakończenia, które tak dalece się utarło, że po większej części i pana, i psa nazywano albo «ja i Cwaj», albo «oba cwaj»”. Czyli nie rozumiejąc – rozumiano właśnie, intuicyjnie pojęto porzucenie człowieczeństwa i demoniczne utożsamienie się z bestią.

Zatem jako ten mówiący, Dziobak mówi parą ust, czterema wargami – mówiący w mowie staje się „psomeżem”. A znaczy to, że w każdym momencie, w nieprzerwanej ciągłości czasu, nie tylko w rzadkich chwilach popełniania zbrodni. Dziobak utwierdza się w grzechu i negacji. W tym sensie kolejne morderstwo i stała językowa kadencja owego „ja i Cwaj” powinny być rozpatrywane jako grzech poszczególny i ciągłość grzechu. „Trwanie w grzechu – pisze Sören Kierkegaard – jest większym grzechem niż poszczególne grzechy, jest grzechem par excellence. W ten sposób rozumiane trwanie w grzechu jest dalszym ciągiem grzechu, jest nowym grzechem”.

Właśnie trwanie w grzechu zapewnia Dziobakowi poczucie swego Ja, swej oso-

„Potwory zawsze krążyć będą po obrzeżach wielkich miast zamieszkałych przez ludzi normalnych.”

Krzysztof Matuszewski

bowości, w grzechu też szuka swego prawdziwego imienia.

– „Gadaj, kto ja jeźdem? – padło powtórzone pytanie natarczywie i rozkazująco.

– Niby, jak to?

– No, znasz mnie, czyli mnie nie znasz?

– Wiadomo.

– No to, kto ja jeźdem?

– Pan Lewandowski, wiadomo.

– Dobra! Tak! Lewandowski! Ale to frajer... Jest sklepiciarz Lewandowski na Wolskiej wprost kościoła, pęta i łapciuch... A ja, który Lewandowski? Ja? Ja Piotr Lewandowski, ja i Cwaj oba cwaj?...

Czerwone ślipka zamigotały raz po raz – połapał się.

dzień cynika

Diabeł

– Wiadomo: pan na całe Wole! Herśt wielemożny! Wiadomo!

Dziobak roześmiał się.”

Scena ta, mistrzowska pod każdym względem i o dużej kondensacji znaczeń, jest powtórzeniem i odnowieniem tamtej brzemiennej beznamiętnej pychy niebiańskiej sceny, „gdy przeciw Stwórcy stroszył brew do góry” (Dante). Przede wszystkim trzykrotnie powtórzone pytanie, symbolizujące nieodwracalność zwrócenia się ku sobie samemu, znalezienia upodobania w sobie samym. Pierwsza odpowiedź sytuuje Dziobaka w ludzkiej

i ścisłą afirmacją „ja” w ciągłości grzechu i w jego samowystarczalności.

Lucyfer płacze – „z ócz sześci łzami ciekł”. Lewandowski objawia inny stygmat dobra i człowieczeństwa – „serdecznie dobrotliwy uśmiezek, dziwnie odbijający od naprzężonych mięśni szczęk i rozdętych chrup nosa”. W zestawieniu z całą postacią ów „jowialny uśmiech” sprawia niesamowite wrażenie, gdyż będąc wspomnieniem dawno utraconej dobroci i szczęśliwości tym bardziej podkreśla siłę i natężenie zła, bezdenność upadku.

Mamy ponadto niezbite dowody, że Dziobak-Dis śni ciągle dawno widzianymi obrazami Raju. Pierwszym byłby ów całkiem niezwykły ogródek, jaki założył przy swoim domku na Woli: „na południowej ścianie domku jego pięła się i owocowała prawdziwa winna łoża; potrafił on wyhodować niezwykle odmiany chryzantem i poczwórnych goździków, nieznane nawet zawodowym ogrodnikom; drogą skomplikowanych szczepień jedno drzewo rodiło mu różnorakie owoce”.

Drugi dowód znajdujemy w jego wręcz dzikim pragnieniu widzenia bezpośrednio – duszy, emanacji, świetlistości: „Zobaczyć na rodzone oczy... choć razik! Bo przecie musi, musi coś być, kiedy człowiek żyje, a potem kiedy z pochłastanej gryki chlusta krew! Z totą krwią musi przecie, przecie musi coś wylać: duch, para jaka, czy z człowieka, czy z bydła, co mu to życie dawała!”

Lecz tutaj na ziemi nie ma żadnego sposobu na to, abyśmy mogli kiedykolwiek zobaczyć duszę człowieka bez pośrednictwa ciała. Spojrzenie, które nie dostrzega duszy w duszą przesiąkniętym ciele, gdyż kierowane jest w intencji objęcia czystej emanacji, jest znakiem upadku najpiękniejszego z aniołów, znakiem wyróżniającym go, królewskim. Lecz również, jak pisze Olof Lagercrantz, lepiej ni-



PAWEŁ LASIK

powszechności, jest więc obraźliwa, jeśli słusznie założyć, iż oczekują jej wyniosłość i pycha, które bez reszty zawierają się w występku. O odrębności nie stanowi imię, zapewnia ją faktycznie stan grzeszny, wskazany tu wyraźnie pogardliwą negacją: „sklepiciarz... pęta i łapciuch”. Dopiero więc druga odpowiedź: „Ni towarzyszy:”, ni kolegów – sam!”, „na Woli i po tym terenie, jak udziałny książę po swej marchii chodził w syngieltona”; zaś w warszawskiej balladzie: „Bratem mu nóż był”, jest tą od początku oczekiwaną

wszystko inne „wskazuje drogę ku Bogu”.

Scen bogatych w diabelskie tropy jest w powieści kilka. Wśród szmeranego towarzystwa Powiśla i Woli mało kto jednak poznał Dziobaka do głębi. Wie o nim wszystko jedynie Profesor, „doświadczony i mądrości pelen starzec”. Lecz ten „przezornie milczy”. Milczenie nie okrywa tu tajemnicy – milczenie jest wyrazem przeżycia tajemnicy. Najwyższa mądrość milczy wobec zła absolutnego.

Janusz Węgielek

dokończenie ze s. 1

albo też uprawiających wydawnicze piractwo przez pośpieszne publikowanie książek będących już w opracowaniu lub produkcji. Trafiają się także przypadki nieplacenia podatków czy honorariów. Istnieje jednak również sporo przedsiębiorstw łączących ekonomiczną trzeźwość z kulturalnymi ambicjami. Wśród nich kilkanaście umocniło się i zdobyło trwalsze miejsce na rynku. Mają one jednak w dorobku nie więcej niż 10–20 pozycji każda i od 20 do 100 (?) zawartych umów.

Podstawową bolączką tych wydawnictw jest rozpowszechnienie książek: trudności w tym zakresie są inne niż w oficynach opierających się na Domach Książki, ale również dokuczliwe. Wyjątkowo tylko – jak dotąd – korzystają one z dotacji państwowych, u ich powstania były jednak nieraz subwencje prywatne lub zagraniczne (bezwrotne). Dalej też takich subwencji oczekują, uskarżając się na przepisy o fundacjach. Jest również jasne, że ewentualne straty lub też braki gotówkowo uzupełniane są często ze środków firm, z którymi związanych jest wiele prywatnych wydawnictw.

B. Wydawnictwa państwowe nie umiały – przynajmniej w większości – dostosować się do wymagań rynku i zreformować na tyle szybko, aby w przewidywalnych terminach uzyskać gospodarczą samodzielność. Obciążone są wielomiliardowymi długami, zabezpieczonymi niesprzedawalną (lub trudno sprzedawalną) produkcją, która spoczywa w magazynach Domu Książki (ostatnio też własnych). Trwają na ogół z dnia na dzień, spodziewając się – jak wiele przedsiębiorstw w Polsce – ratunku od państwa. Samonaprawiały się późno i połowicznie. Większość zmieniła dyrektorów, nieznacznie ograniczyła zatrudnienie (o 5–15%), wypowiedziała część umów, chyba jednak mniej niż wieść niesie (od 20 do 200 na firmę, ale przeważnie nie zrealizowanych lub nawet nie rozpoczętych). Późno i niemrawo zabrały się do samodzielnej sprzedaży, najpierw detalicznej, potem hurtowej i do rozpowszechniania własnych książek. Jest rzeczą godną uwagi i ubolewania, że także one rzadko, jak się zdaje, korzystały z dotacji i subwencji docelowych, a także praktycznie nie wdrażały nowoczesniejszych (lub intratniejszych) sposobów marketingowych.

Pod tymi wszystkimi względami „stare” wydawnictwa stowarzyszeń albo związków wyznaniowych reagowały – jak się zdaje – prędzej i szybciej. Grozi im w każdym razie o wiele mniej niż oficynom państwowym.

Stanowisko władz centralnych wobec tych ostatnich nie jest jasne. Jak się zdaje, liczyły one na większą energię w samonaprawie... Obecnie zalecają – oficjalnie – prywatyzację, nie bardzo jednak wiadomo, kto i po co chciałby kupować firmy nie rokujące rozwoju i zysków; łatwiej przecież zaczynać od nowa, bez obciążeń. W tym zatem punkcie stanowisko władz wydaje się krótkowzroczne czy nierealistyczne. Państwowe wydawnictwa mogą jeszcze wegetować czas jakiś, dzięki poparciu własnego personelu, opinii publicznej i rozmaitym fikcjom księgowym; nie wszystkie też zachowują się równie biernie. Trudno jednak przypuszczać, aby mogły – w większości – powrócić do równowagi same, bez pomocy czy raczej decyzji z zewnątrz... Marazm tych oficyn już dzisiaj ma niekorzystne skutki dla książki i literatury polskiej. Odczuwalne są: ograniczenie ambicji, zaniechanie poszukiwań, strach przed debiutami i książką trudną.

3. Hurt i detal księgarski znajdują się obecnie w sytuacji gorszej chyba niż wydawnictwa. Stanowią one – zwłaszcza hurt – najsłabszy punkt sieci produkcji i rozpowszechniania książek.

A. Jak wiadomo, wydawnictwa mogą obecnie sprzedawać swe książki same, pełniąc funkcje hurtownika a nawet detalisty, albo też, powierzając je, jak dawniej, Składnicy Księgarskiej.

Przejęcie funkcji hurtownika (a tym bardziej detalisty) jest dla wydawców korzystne i można żałować, że zabrał się do niej tak późno i niemrawo. Zakres tej działalności handlowej musi niestety pozostać skromny. Mało które wydawnictwo posiada bowiem magazyny, gdzie mogłoby przechowywać swą produkcję, oraz środki transportu, pozwalające ją rozwieźć. Dlatego ograniczają się często do rozprowadzania książek w miejscu swego istnienia. Bardziej przedsiębiorcze są wydawnictwa prywatne, ale rozprowadzają one jednocześnie niewiele tytułów, zaopatrując na ogół kilka (naście) większych miast: reszta zajmuje się – lub nie – pomniejsi pośrednicy.

Główną rolę odgrywa więc ciągle Składnica Księgarska, od października 1990 roku podzielona na dziesięć hurtowni regionalnych (a więc nie konkurujących ze sobą). Magazyny tych hurtowni pozostają wciąż bezpłatnym magazynem bibli, politycznych i literackich. Ponieważ wydawnictwa nie płacą Składnicy za książki magazynowane, ale 7% ceny detalicznej za książki sprzedane, stanowi ona to ogniwo dystrybucji, które najsilniej odczuwa spadek popytu. Nie ma środków na inwestycje i komputerową modernizację wyposażenia, która pozwoliłaby na bieżące śledzenie losów każdej książki. Nie może nawet wyzbyć się pozycji niesprzedawalnych na makulaturę! Słowem, Składnica tkwi w archaicznej niewydolności i nie wiadomo, jak mogłaby się z niej wydobyć, tym bardziej, że musi się liczyć ze wzrostem czynszów i zmianami własności zajmowanych nieruchomości. Wydzielenie ze struktury Składnicy ośrodka warszawskiego, najlepiej wyposażonego technicznie i bibliograficznie, zdaje się tylko zamazywać rzeczywistą sytuację.

Ostatnio rozwijać się zaczął hurt prywatny, pośredniczący – częściowo – między prywatnymi wydawcami i księgarzami,

a także, między Składnicą i mniej sprawnymi księgarniami oraz rzeszami sprzedawców straganowych. Nie sposób – bez fachowego studium – wytworzyć sobie opinii, czy, w jakim czasie i za jaką cenę zdoła on zastąpić stare struktury. Jedno jest pewne: nie może to nastąpić szybko. Stworzenie sieci nowoczesnego hurtu jest bardzo kosztowne i kapitałochłonne i w miarę swego rozwoju przedsiębiorstwa prywatne będą to coraz silniej odczuwać.

B. Inaczej w księgarskim detalu, gdzie Dom Książki ulega likwidacji czy samoprzekształceniu. Wkrótce już znaczna większość księgarń będzie prywatna. To słuszne rozwiązanie nie załatwia jednak wszystkich problemów. Może być tak, że początkowo prywatyzacja obnaży i pogłębi niedostatki odziedziczonej struktury, dopiero w perspektywie stwarzając możliwość korzystniejszych rozwiązań.

Prywatyzacji księgarń towarzyszy uwolnienie czynszów. Tym samym koszty gwałtownie wzrastają. Księgarnie przechodzą też nieraz na własność spółek pracowniczych, które – jak się zdaje – nie mają potrzebnego kapitału. Nie jest wreszcie jasne, co stanie się z taborami, magazynami, sprzętem Domu Książki... Stąd obawy, że wzrost kosztów pociągnie za sobą likwidację księgarń w gminach, mniejszych miejscowościach i na peryferiach większych miast. Jednakże – jak dotąd – znajduje się wciąż wielu chętnych do założenia czy przejęcia księgarni,

Jan Błoński

Raport o stanie książki



FRANCISZEK MASLUSZCZAK

nawet w całkiem małych miastach. tak jest przynajmniej na terenie Małopolski.

Groźniejsze mogą być – jak się zdaje – trudności księgarń specjalistycznych, technicznych, naukowych, muzycznych, poetyckich itp., w których tzw. okres rotacji książki wynosi przeciętnie 100 dni. Pomniejszyć się może dostępność książki trudnej i kształcącej intelektualnie i kulturalnie; już dzisiaj jedyną księgarnię techniczną w Gdańsku, regionie, który od lat wykazuje najwyższe wydatki na książkę w kraju, utrzymuje... salon

mebli. Tym samym pogłębiać się będą różnice kulturalne między kilkoma wielkimi miastami a resztą kraju.

Przeciwdziałaniem mogłaby stać się sprzedaż wysyłkowa, której jednak praktycznie w Polsce nie ma. Przyczyn jest kilka: koszt poczty, system podatkowy, warunki kredytu, niedostateczna informacja o książce, a także indolencja i niesolidność (zwłaszcza niepunktualność) pracy drukarzy i wydawców.

C. Nie można bowiem – mówiąc o sytuacji książki – pominąć niezmiernie prymitywnego stylu pracy większości ogniw rynku księgarskiego.

Drukarze drukują niedbale, mieszają w jednej książce gatunki papieru, nie eliminują egzemplarzy zdefektowanych, nie publikują errat. Książka polska jest często po prostu – paskudna, a niemal zawsze – poniżej europejskiego standardu.

Wydawnictwa – z rzadkimi wyjątkami – nie są w stanie tak ustawić współpracy z drukarniami, aby szybko reagować na potrzeby rynku. Nie ma w Polsce nakładów sondażowych i promocyjnych, rzadko pojawiają się dodruki i to nieraz wtedy, kiedy opadnie już zainteresowanie daną pozycją. Zaniechano publikacji planów wydawniczych, odstępuje się od publikacji zapowiedzianych tytułów, nie mówiąc o nagminnych opóźnieniach terminu wydania.

Wydane już książki docierają do różnych regionów i miast nierównomiernie i niemożliwe jest zamówienie danej pozycji w księgarni, nie mówiąc już o wydawnictwie. Nawet w księgarniach wydawnictw nie można czasem nabyć pozycji, która skądinąd zalega w magazynach Składnicy. Pierwsze egzemplarze kieruje się czasem do sprzedaży obnośnej, co sprzyja spekulacji i zwraca przeciw interesom wydawcy.

Informacja o książce jest niedostateczna i spóźniona (bywa też często nieskorelowana z faktycznym pojawieniem się danej pozycji). O bestsellerach decyduje plotka, nie kształtowanie klimatu. Jedynym źródłem wiedzy o nowościach pozostają wydawnictwa Składnicy (Książki w druku i Zapowiedzi); realizacja zapowiedzi spóźnia się tak bardzo, że dla czytelnika nie mają one wartości; nie są też dla niego przeznaczone. Ale recenzje w czasopiśmie i spisy książek nadesłanych pojawiają się znowu za późno, aby czytelnik mógł z nich skorzystać. Nie ma prawie recenzji czy krótkich omówień w dziennikach, telewizja jest zbyt droga, aby wydawnictwa mogły się do niej odwołać. Koszty reklamy w ogóle przekraczają często możliwości wydawnictw, które skądinąd zbyt rzadko sięgają do prostej (i taniej) informacji (np. dołączania informacji do książek, rozdawania ulotek klientom itp.).

Niski jest poziom wiedzy o książce wśród pracowników księgarń. Nie umieją oni poradzić klientowi, rzadko zachęcają do kupna, nigdy nie udzielają informacji bibliograficznych itd. Odrażający już jest sam wygląd wielu księgarń z klientami w ogonku po koszyki i obsługą opartą o ściany, pilnującą klientów niby złoczyńców. Można mieć jednak nadzieję, że przynajmniej w tym punkcie prywatyzacja przyniesie szybką poprawę.

4. Biblioteki polskie weszły w okres stagnacji już w początkach lat 70-tych, zaś od roku 1989 zaczął się wyraźny regres (zmniejszanie się liczby punktów bibliotecznych a także ilości czytelników). Tak np. w pierwszym półroczu 1990 w 22 województwach zlikwidowano 75 filii i 2722 punktów bibliotecznych, zaś w drugim – spodziewano się likwidacji czterokrotnie większej liczby bibliotek! Powodem głównym był wzrost czynszów. Równocześnie w pierwszym półroczu biblioteki kupiły ok. 60% mniej książek niż w analogicznym okresie poprzedniego roku. W drugim półroczu – w następstwie głośno wyrażanego niezadowolenia opinii publicznej – biblioteki zostały wsparte finansowo i regres zakupów został zatrzymany. Zamykanie bibliotek, zwłaszcza zakładowych, postępuje jednak dalej, obciążają one bowiem budżety przedsiębiorstw i pogarszają wyniki finansowe. Tak np. w Poznaniu zamknięty został dla czytelników księgozbiór Cegielskiego, liczący 70 000 pozycji!

Przygnębiający jest także stan bibliotek naukowych, zwłaszcza humanistycznych. Niemal zupełnie pozbawione w latach osiemdziesiątych dopływu książek zagranicznych, cierpią one na beznadziejny brak nowoczesnego wyposażenia (a często też – tradycyjnego). Odnosi się to nawet do Biblioteki Narodowej czy Jagiellońskiej.

W warunkach kryzysu książki biblioteki powinny być ostatnimi instancjami, na których robi się oszczędności. Utrzymują one bowiem w obiegu poszczególne pozycje przez wiele lat, inspirując tak czytelnictwo, pośrednio zaś – zakupy rodzin. Biblioteki są też miejscem wiarygodnej informacji o książce, której – jak mówią wszyscy – nie dostaje. Świadomość tych prostych prawd zdaje się niestety nie docierać do świadomości ludzi decydujących o losie bibliotek, zwłaszcza na szczeblu lokalnym.

5. Środowisko literackie odczuło kryzys książki bardzo boleśnie. Pisarze poruszeni są zwłaszcza trudnościami w wydaniu książki, niemożność pojawienia się na rynku oznacza bowiem praktycznie – zamiłknięcie, porzucenie zawodu. Podkreśla się szczególnie sytuację autorów trudnych, zupełną prawie nieobecność debiutantów, zwłaszcza w dziedzinie prozy (paradoksalne, poeci radzą sobie lepiej, ze względu na niewielki koszt publikacji). Niepokój budzi także wyraźne zmniejszenie

dokończenie na s. 8

Raport o stanie książki

dokończenie ze s. 7

się liczby przekładów z literatury wysokiego lotu, przy zarzucaniu rynku „Judlumami”. Działania mecenatu państwowego jawią się jako niejasne, niekonsekwentne i niedostateczne. Co do prywatnego, to jego poczynania – w literackiej świadomości – pozostają raczej w sferze życzeń niż spełnień.

Kryzys książki odbił się też niewątpliwie na dochodach pisarzy, zwłaszcza mniej znanych lub trudniejszych w odbiorze. Nieliczni, którzy żyją z pióra, zawdzięczają to przeważnie wpływom z zagranicy. Czy spadła ostatnio realna wartość honorariów książkowych? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Zważywszy na ruch cen i zmiany przepisów, mniema się jednak, że tak. Na pewno jednak zmniejszyła się liczba publikowanych polskich nowości i także wznowień (literackich). Na pewno też spadły znacznie honoraria w pismach oraz w takich środkach przekazu jak radio i tv; także tantiemy teatralne stały się wprost humorystyczne. Godzi się wreszcie powiedzieć, że materialne skutki kryzysu byłyby odczuwane o wiele silniej, gdyby nie to, że wielu pisarzy włączyło się czynnie w proces odnowy państwa i objęło rozmaite funkcje w pismach, urzędach, przedstawicielstwach itp. Jest to jednak zjawisko przejściowe, maskujące realny spadek prestiżu dochodów związanych z literackim zawodem.

II

Przechodząc od rozpoznania kryzysu do szukania środków zaradczych Komisja trafiła na istotną trudność. Jej informatorzy, także oficjalni, mieli pełną świadomość kryzysu książki i przytaczali starania rozmaitych ośrodków (z Ministerstwem Kultury na czele), zmierzające do odzyskania równowagi. Okazywało się jednak bardzo często, że część tych starań pozostaje wciąż w stadium dyskusji i przygotowań, realizacja innej części zależy od zgody innych czynników (np. Ministerstwa Przemysłu czy Finansów), części zaś nie uda się przeprowadzić bez rozstrzygnięć legislacyjnych itp. Przykładowo, nieznanne lub niepewne były długo losy Funduszu Literatury, obciążenie „popiwkiem” honorariów autorskich, czy nawet faktyczna realizacja subwencji, przyznanych już przez Ministerstwo Kultury. Ta niepewność koncepcyjna i zwłaszcza – realizacyjna – utrzymywała się w wielu sprawach do momentu redagowania Raportu. Dlatego też ograniczono się on tylko do omówienia punktów – jak się zdaje – niespornych i nie wchodzi w rozwiązania szczegółowe.

Można jednak chyba powiedzieć co następuje: w codziennym postępowaniu władze – wbrew częstym opiniom i zarazem dzięki naciskowi społecznemu – starały się łagodzić trudności, przeżywane przez polską książkę, przynajmniej najgroźniejsze z nich. Zarazem jednak nie wypracowały – niestety – całościowego programu czy terminarza reform w tej dziedzinie. O ile nam wiadomo, nie uprzytomniły sobie nawet potrzeby takiego – w miarę spójnego i konsekwentnego – programu. Ręczne sterowanie przeważało więc nad myśleniem systemowym.

Omówione zostaną teraz sprawy, których przemyślenie i załatwienie jest – naszym zdaniem – najbardziej potrzebne dla uporządkowania spraw książki i zapobieżenia pogłębiającej się zapaści kulturalnej.

1. Rozwój czytelnictwa – podobnie jak całego uczestnictwa w kulturze – nie jest, jak mniemają prostacy, kwiatkiem do kożucha, sposobem spędzania wolnego czasu. Jest zarazem owocem i napędem całego rozwoju człowieka, także – w naszych czasach coraz bardziej – rozwoju ekonomicznego. Dlatego spadek lub wzrost czytelnictwa jest takim samym, jeżeli nie lepszym, wskaźnikiem ogólnego stanu społeczeństwa, jak wskaźniki demograficzne, ekonomiczne itp. To że w Polsce liczba wydanych książek na głowę należy do najniższych w Europie odpowiada niestety ściśle miejscu, jakie pod wieloma innymi względami zajmuje ona na kontynencie.

Stąd wniosek, że społecznym celem nie może być utrzymanie status quo, ale wyraźny rozwój czytelnictwa, równie (jeżeli nie bardziej) ważny co rozwój sieci drogowej czy budownictwa mieszkaniowego. Prosta prawda, o której wiedzieli już ludzie oświeceni, nie mówiąc o pozytywistycznych społecznikach. Szkoda, że umyka ona często ze świadomości współczesnych.

Mówiąc krótko, nastawieni powinniśmy być nie na podtrzymanie, ale na wzmocnienie czytelnictwa, co zasadniczo zmienia sposób myślenia i zarządzania sprawami książki. Zarazem byłoby to prawdziwe zerwanie z totalitarnym modelem czytelnictwa, który uprzywilejowywał nakłady kosztem tytułów, wypychał w społeczeństwo miliony bezwartościowych czy niepotrzebnych egzemplarzy, ograniczając zarazem intelektualną i artystyczną ofertę książkową.

2. Cel ten będą na pewno dobrze spełniać firmy prywatne. Nie zwalnia to jednak państwa od obowiązku stwarzania im dobrych warunków pracy, korygowania powstających zaniedbań i niedostatków, najpierw zaś, od obowiązku przeprowadzenia istniejących obecnie dużych oficy na rynek bez społecznych strat, a zatem, w przyszłości, kosztów. Dlatego zdaniem naszym należy:

A. – jak najprędzej nadać istniejącym państwowym oficy nową osobowość prawną (spółkę skarbu państwa, w ostateczności spółdzielnię) i umożliwić im przekształcenia własnościowe. Jak się zdaje, władze gospodarcze liczyły na inicjatywę zainteresowanych; okazała się ona niewystarczająca, bowiem głównym celem wydawnictw państwowych było w zeszłym roku uchronienie pracowników od zwolnienia czy przekwalifikowania, co paraliżowało zmiany organizacyjne. Jeżeli firmy te nie mają rozpadać się latami, marnotrawiąc swój kapitał, zwłaszcza zaś doświadczenie i umiejętności – zmusić je trzeba do reform od zaraz, zapewniając jednak fachową konsultację, ewentualnie specjalne kredyty itp.



LEON TARASEWICZ

B. – spowodować szybko powstanie ciała (izby, rady), która by reprezentowała interesy wszystkich wydawnictw na zewnątrz. – Wewnątrz zaś – zadbała o przestrzeganie reguł zawodu, zapobiegając pojawiającemu się piractwu, nieuczciwości i zamętowi. Powstanie takiego ciała, rzecz jasna, niezależnego od agend oficjalnych, będzie mieć także duże znaczenie dla autorów.

C. – ustalić możliwie jasne zasady mecenatu państwowego i działać na rzecz prywatnego. Jest rzeczą jasną, że znaczna część publikowanych książek literackich musi być dotowana, albo przez same wydawnictwa, które z zysków finansują pozycje mniej pokupne, albo przez fundacje, agendy państwa czy osoby prywatne. Tak było od starożytności wszędzie na świecie i tylko interesowny doktryner może twierdzić, że nie powinno tak być w Polsce. Więcej: właśnie w Polsce, gdzie nowo powstające wydawnictwa prywatne nie mają rezerwy i zdolności kredytowej, nie można od nich żądać zadań nad siły. Funkcje mecenasa musi jeszcze czas jakiś pełnić państwo, chociaż w ciągu – powiedzmy – dziesięciu lat jego rola powinna się zmniejszyć. Tak jest w dziedzinie książki naukowej (mimo sporych zysków, jakie w teorii można by ciągnąć z podręczników itp.) i trudno zrozumieć powody, dla których nie miałyby być podobnie z książką literacką. Tym bardziej, że w niektórych dziedzinach trudno przeprowadzić między nimi granicę.

Wspomagane powinny być – mniej więcej w równych proporcjach – debiuty (pierwsze i ewentualnie drugie książki) powieściowe; eseje i prace krytyczne; tłumaczenia, wnoszące istotne wartości do polskiej kultury literackiej; wreszcie, pozostałe książki, ze względu na ich charakter, jednak – bardziej selektywnie traktowane.

Inaczej niż obecnie, dotacje nie powinny pokrywać więcej niż 20-30% kosztów wydania, inaczej będą demoralizować wydawców. Dotacja powinna bowiem ubezpieczać tylko wydawcę przed nadmierną stratą i zmuszać go do zwiększenia starań o sprzedanie książki. Dotacje natomiast powinny być zupełnie pewne i wypłacane (przynajmniej w połowie) zaraz po przyznaniu. Udzielanie mglistych obietnic, jak to jest niestety praktykowane obecnie, przedłuża tylko proces wydawniczy i wegetację nieskłonnych do reform oficy. Trudno też zrozumieć, dlaczego z dotacji państwa nie korzystają wydawcy prywatni. Subwencjonować należy książki, a nie instytucje.

Aby subwencjonowanie książki przebiegało właściwie, lepiej

zlecić je ciału o wyraźnym statucie i sposobie działania. Najlepsza byłaby niezależna – choć oczywiście kontrolowana przez ministerstwo – instytucja w rodzaju dawnej Kasy im. Mianowskiego: choć bowiem nie istniejącej obecnie (ad hoc) komisji nie można pod tym względem zarzucić, to jednak trudno w przyszłości wykluczyć pojawienie się personalnych czy politycznych nacisków ze strony władz. Także prestiż ciała (gremium) niezależnego będzie znacznie wyższy.

Źródła i globalna wysokość subwencji powinny być względnie stałe i przewidywalne. Nie powinny też pochodzić w całości z budżetu. Zapewne wskazane byłoby przeznaczenie na ten cel całości lub części kwot, będących odpowiednikiem honorariów autorskich klasyków. Fundusze te służyły do rozmaitych celów: zapomóg, stypendiów, subwencji. Byłoby lepiej, gdyby zyskały stałe przeznaczenie, albo przynajmniej rozdzielane były według określonego planu. Poza tym należy je w trybie pilnym ustabilizować, ponieważ – o ile nam wiadomo – wypłacanie ich przez wydawców nie jest obowiązkowe. Potrzebny jest tutaj odpowiedni akt prawny i to prędko.

Co do subwencji prywatnych, witamy je z uznaniem, wypowiadając się przeciwko zsypaniu ich do wspólnego Funduszu Kultury, chyba że służyłoby to wyłącznie rejestracji i kontroli przed nadżyciami podatkowymi. Rekoncentracja środków prywatnych w rękach państwa – choćby ożywionego najlepszymi intencjami – jest bowiem reliktem z minionych czasów i nie wydaje się zgodna ze współczesnym myśleniem, nie mówiąc o tym, że odstręczać będzie darczyńców.

Proponowane rozwiązania prowadzą, jak się zdaje, mniej do znacznego zwiększenia subwencji dla książek, ile do jaśniejszego rozoznania potrzeb, uporządkowania procedur i przyspieszenia decyzji. Nie możemy bowiem w tej chwili powiedzieć, ile książek czeka na wydanie. Ale tym bardziej trzeba działać, i to działać w sposób dla wszystkich zrozumiały – po to, aby przywrócić normalny rytm literackiej twórczości.

3. Podobnie jak w sprawie (części) wydawnictw, nie obędzie się zapewne bez znaczącej interwencji państwa w reformę hurtu księgarskiego. Czekanie bowiem, aż obecni dystrybutorzy prywatni zbudują sprawne a rentowne przedsiębiorstwa hurtowe, trwać może lat parę, powodując straty i opóźniając powrót całej profesji do zdrowia. Zapewne i tutaj należałoby dążyć do prywatyzacji, a na pewno do konkurencji między przedsiębiorstwami, zacząć więc od przekształceń prawnych. Pilnie też należy umożliwić wyzbycie się bezwartościowych zapasów oraz znaleźć sposób na kredytowanie unowocześnień informatycznych. Bliższe jednak określenie koniecznych posunięć przekracza kompetencje Komisji.

4. Szybsze i bardziej efektywne przekształcenia detalu każą – w sumie – myśleć spokojnie o sytuacji księgarstwa. Wsprzeć je można – i należy – posunięciami subtelniejszymi, przy tym zaś, kosztującymi niewiele. Tak więc należałoby:

– apelować do samorządów, aby przynajmniej na najbliższe lata ułatwiły przetrwanie księgarniom specjalistycznym (naukowym, muzycznym, technicznym, ale także – wyspecjalizowanym w „trudnej” literaturze), zapewniając im lokale o znosnym komornym. Byłby to istotny i doprawdy, niezbyt uciążliwy wkład samorządów w pomoc dla polskiej książki.

– zastanowić się, czy możliwe byłoby jakieś ułatwienia podatkowe dla tychże księgarni, niezbyt w końcu licznych;

– rozpocząć starania o takie ustalenie opłat za przesyłkę książek wewnątrz kraju, która by uczyniła możliwym rozwój sprzedaży wysyłkowej. Zniżki takie są powszechnie stosowane na świecie. W Polsce nie przyczyniłyby pociechy wielu kłopotów, jako że taka sprzedaż dzisiaj praktycznie nie istnieje.

5. Projekt zarządzania i finansowania bibliotek, zaproponowany przez ministerstwo, wydaje się ostrożny i rozsądny. Trudno nam też w dzisiejszej sytuacji proponować inne działania na rzecz bibliotek niż przywrócenie im środków na zakupy książek i najbardziej podstawowe inwestycje. Do postulatu tego przywiązujemy jednak zasadniczą wagę.

6. Jak się na pierwszy rzut oka zdaje, środowisko pisarskie nie żywi zasadniczych oporów przed określeniem honorariów autorskich procentem ceny wydrukowanych egzemplarzy danej książki. Komisja nalega jednak na bardzo staranne opracowanie prawne tego systemu wynagradzania pisarza, zważywszy na (znane z innych krajów) możliwości manipulowania nim na niekorzyść autora.

Po dłuższej dyskusji Komisja stwierdziła, że nie jest w stanie w pełni wiarygodnie określić zawodowej sytuacji pisarzy w sposób dostatecznie pewny i wyczerpujący. Dlatego też zwraca się do Zarządu Głównego z sugestią rozpisania wśród Kolegów ankiety.

Za Komisję

do Spraw Książki przy Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Jan Błoński

Grzegorz Musiał

Żegnaj, Iowa

Dlaczego nie jestem pesymistą? – to zbyt ogólne z pozoru pytanie zadał mi mój student Bill, kiedy wyjeżdżał na stypendium do Krakowa. Jego dziadkowie przyjechali tu z Podhala, zaś on sam – roześmiany od ucha do ucha „typowy” Amerykanin, zdawał się ostatnim, dla którego problem „ optymizmu” czy „ pesymizmu” miałby jakiegokolwiek znaczenie. W Ameryce JEST się optymistą – i tyle. Nikt nie zagłębia się w zawilosci duszy szukającej swojego środka, w spleen poobiedniej drzemki, w samotność wędrówki pod złotymi cielcami Manhattanu – wieżowcami, które koczują się z wierszem Geralda Sterna o bogach Babilonu. Nieprawda! Ich złe, miedziane oczy są tylko częścią rzeczywistości, z którą tu przyszło żyć, lub którą śnić – jak rybom zamkniętym w słoju albo jak morskim świnkom, ku którym zbliża się ten obcy, w białym kitlu, wykonywać swe tajemnicze doświadczenia.

Dlaczego nie jestem pesymistą? – otóż dlatego Billu, że jak Ty – który szukasz Krakowa, tamtego oddechu pod tamtym niebem, tamtej wody i tamtych liści – przyjechałem tu... po co? Po bobry. A właściwie po ich dziwne skrzyżowanie z nutami: cała ich gromada wylega w cieplejsze dni na brzeg Iowa River i niektóre już nie uciekają poznając mnie. Dziwaka. Poetę? Z Polski? Pisarza rzuconego w otchłań amerykańskiej duszy? Wędrowca przez Czas i przez Rzecz, którym przygląda się z obawą (wpięty) a potem z radością, że wciąż są Tymi Samymi Rzeczami. Tym samym czasem, w którym żyliśmy i żyjemy... by zrozumieć?... Co? Bobra, rzekę... wyjmując z żeliwnej skrzyni (którą projektował Grant Wood) list od Ciebie, list z Krakowa, myślę przez chwilę – zagapiony w wielki, srebrny klon przed moim domem i w księżyc nad nim, jak dynia – o Jedności Miejsca i o czasie, który przepływa dyskretnie, muskając. Więc jeśli piszesz, że chciałbyś się spotkać z Szymorską i że „zapiekanka” jest twoim pożywieniem w wędrówkach nad Wisłę, nocą, do kopca Kościuszki i z powrotem, ja ci odpowiem, że niebo nad Iowa City tak samo idzie za mną od Hancher Auditorium do Old Capitol Hill, obrzynie amerykańskie niebo nie obcięte granicami z każdej strony, indiańskie niebo Iowa, pod którym szumią trawy od dawna nie tknięte kosiarką i sunie wśród nich senny, plamisty amerykański wąż. Białe huśtawki na łańcuchach bujają się z lewej i z prawej. Błyska u końca alei, w cieniu sykomorów, bar „Fox Head”. Niedawno w tym barze rozmawiałem z Brodskim – dotknęliśmy Boga? Cofnęliśmy się, przestraszeni? Jego obecnością tu, w halasie o drugiej w nocy, przy stole do bilarda, o który oparta dziewczyna w liliowych rajtuzach i skórzanej kurtce z cekinami mówiła pociągając ze szklanki: „Boga nie ma. On o nas zapomniał. To my o Nim też”. Po to tu jestem, Billu, żeby Ci podpowiedzieć, czego nie rozumiałeś mieszkając tyle lat w miejscu wzgardliwie nazywa-

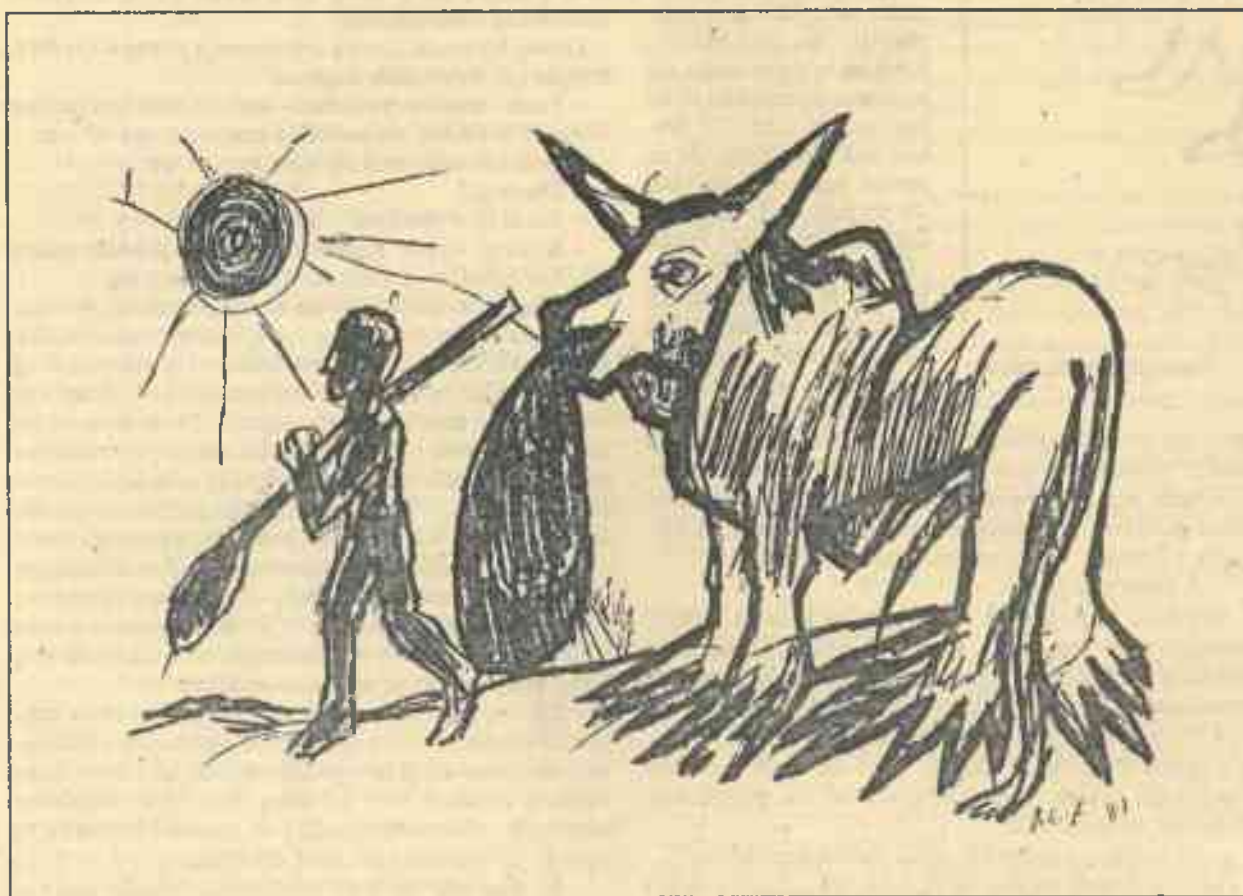
nym „Paryżem kukurydzianych pól”. Twarz twego przyjaciela Richarda, gdy żegnałem go nocą przed mym studio, błysnęła światłami przejeżdżającego za żywoptem samochodu. „Będzie mi brakowało” – powiedziałem. „Czego?” – zapytał. Nie odpowiedziałem, bo to byłby Bardzo Długi List. Do Ciebie. O tym, jak „ważne są czerwone taczki” – zapytam cię jak profesor, czyj to wiersz? – „z politurą deszczu, który spływa po nich, obok białych kurcząt”. Zrewolucjonizował poezję amerykańską... brawo, zdałeś egzamin nocą przed garażem, zapatrzone w światła, wsluchany w wiewiórcze szelesty – on też, jak Białoszewski, cicho powie sobie: nie zabijaj mnie, chłodzie płomienia. Zostaw ciepłe miejsce dla wiersza, jak Theodore Roethke dla swej studentki zabitej podczas jazdy konnej – a wiem coś o tym, moja siostra w Białym Borze wybrała najtrudniejszego konia i kopyto, gdy ją zrzucił, rozorało jej czaszkę jak piła. Widzisz? Straciłem watek, miało być o niebie.

Więc powiem: zatrzymaj niebo Krakowa, bo tylko to zostaje, co mija. Jak wiewiórka, którą na cześć mojej siostrzenicy nazwałem Basią, ale zaraz pomyliła mi się z inną. I drzazga z drewnianych ścian mego domu, wśród których Grant Wood namalował ten swój „Amerykański gotyk”. I okrzyk Geralda Sterna, gdy wdziera się pod mój dach jak burza wołając: „szmok! szmok! cała Ameryka to szmok!”. Co jeszcze? Okruch cembrowiny z basenu okrytego na zimę zielonym brezentem? Discount voucher, który znalazłem na dnie słoika gdy wygrzebywałem resztki kawy Maxwell? Lub nocna pijana pieśń mego gospodarza, który nigdy nie miał żony i teraz, wracając z sobotniej wyprawy do miejscowego gay klubu, śpiewa o zmoiwie iowiańskich mężczyzn przeciw iowiańskim kobietom.

A one? – cóż. Siedzą pod lampami patrząc na zegar jak te, w Krakowie, których za frankami nie widzisz, bo my w Polsce okna zasłaniamy jak dusze i trudno dotrzeć tam, gdzie dociera tylko prawdziwie samotny wędrowiec. To mój ostatni list z Iowa. Piękno Kanady mnie zatrulo. Vancouver lśniło w nocy jak obłany tłuszczem naleśnik. Tętniła muzyka pełna świeżej krwi i sunęła nad uspiętym miastem księżycowa kolej. Potem – Seattle rozrzucone nad zatoką i wyspami jak kości potwora, który zrodził piękno i zdechł. Zatrzymałem na chwilę oddech żeby nie zaparować szyby samolotu, gdy mijaliśmy ośnieżony, (nad jeziorem wielkim jak powiat Baker. Wszystko wielkie, wielkie), a ja mały, mały, do tego ciągnący za sobą dom mego ojca, meble mojej matki, pamięć – jak dziecko na uschłej pepowinie. Co jeszcze? Nowy Meksyk? Gdzie pod Albuquerque chciałem krzyknąć, zdławiony ciszą czerwonych gór i pustyni. W San Diego białe miasto wyrosło nade mną i znikło: most wygięty nad cieśniną, krzyż na skalistym cyplu nad niebieską wodą i o zachodzie słońca, na plaży, drewniana koronka Coronado Hotel, w którym mieszkała Modrzejewska.

Przyślij mi, nim wyjadę, kawałek swej samotności w rozmowie z Szymorską. Jak twój szeroki uśmiech – zmierzony jej ironią – opadł. I ile nie powiedzieliście sobie, dwaj samotnicy osaczeni przez przedmioty: ona, wśród porcelany Krakowa i ty, jakoby czysty, wierny, a też przecież wlokący za sobą dziwne amerykańskie zwierzę. Przeszłość, której tylko znający cenę wolności – strzegą. Zamykam komputer. Trzask. Nie ma zapiekanki, jest cisza. Noc nad Iowa – pokarm niechcianych dusz. Poślę ci kawałek Ameryki, mój list, w którym tak niewiele tego, co będę oplakiwał. Patrz, zmusiłeś mnie do tego słowa – „plakać” – w Ameryce. To jakby w Krakowie – zatrutym i zrujnowanym – cieszyć się życiem. Nic więcej. Samochody szumią za drzewami. Kraj Iowa – jak Kraków, jak Izrael – milczy mi swoją ciemną, zawikłaną opowieść.

Iowa City, marzec 1990



RYSZARD GRZYB

Mieczysław Machnicki

Przez mur, który był
dla niepoznaki,
drogą w dół, co wywiódła
inne wszystkie ptaki,
księżycem wreszcie jako falą
z morza świecącego w górę:
nie dane było przewlec się
inaczej,

niż wewnątrz kości,
udając martwe ciało
całego tego czasu.

Świecimy sobie w oczy.
Ja po tej stronie wody, ty
po tamtej stronie oceanu.
Moje światło cię oślepia,
twoje – oświecła mnie.
Czasem myślę, że tylko brzeg
jest między nami, my
do siebie zwróceni tyłem głowy
świecimy sobie w oczy dłońmi,
nie potrafiąc oderwać ich
od słońca.

Plaszcz

Plaszcz mnie opuścił i wlecze
rękawy po niebie,
i guziki się toczą beze mnie
bez celu.
Aniołowie wypatrują tego plaszcza
i nie mogą go wypatrzeć:
nie wiedzą, że ja też nie wiem.

To nie był mój plaszcz,
to nie było moje mieszkanie.
A wiódł mnie
jego podniesiony kołnierz.
Aniołowie są coraz bliżej
aniołów.
Plaszcz zarzuca rękawy
na ramiona po nie.

Zakładka

Czyta się nienapisane,
aż ono zaczęło się pisać
wewnątrz mnie, lecz od końca –

Czytać coraz szybciej, zachłannie,
aż połknie mnie pierwsze zdanie

(i wyświetli na ścianie
pod cudownym obrazem, i
ty będziesz patrzeć

podchodząc coraz bliżej, przechodząc
mnie na oścież
przez wewnętrzny system klamek)

Przestaję czytać, zamykam się
na zakładkę –

Och, wyciągnij ją... wyjmij, Boże –
Niechaj wiem, na której jestem
stronie

Czesław Dziekanowski

Był sobie jegomość, który w ogóle nie wierzył we własne przeznaczenie. Co mi tam przeznaczenie, mówił, co mi tam przeznaczenie, powtarzał i lekceważąco machał ręką, po czym gwałtownie zmieniał temat i drogę, po której podążał. W jego ustach przeznaczenie było tylko przeznaczaniem, czymś godnym splunienia i pogardy.

Pewnego dnia spotyka on kobietę na moście. Bardzo zaniedbanym, podmytym przez wiatr i burze rzeczne. Jegomość nie wiedział, że czyha nań niebezpieczeństwo od stóp. Szedł wprawdzie z dużym wyczuciem, ostrożnie stąpał, naprawdę robił małe kroki, jakby stopa za stopą, aż nagle słyszy:

– Stop!

Pomyślał, że to jego własna stopa powiedziała stop. I szedł dalej. Stopa za stopą. Ale też powtarzało się stop. Stop, stop, stop. To ona tak szeptała, owa kobieta tak na balach mostu chrzęściła. I stop, i stop, i stop. Na balach

zmierzchem a przecież musi stopa za stopą i jeszcze w dodatku słyszy kobiece stop, które natarczywie i przynagla do zatrzymania się mniej więcej, jak obliczył, w połowie mostu. Moje stop nie skutkuje, z żalem pomyślała kobieta, moje stop nie robi żadnego wrażenia na jegomościu w płóciennym kapeluszu, w rękawiczkach białych, o wiele bielszych niż biegun północny, i z białą laseczką, którą z dłoni do dłoni przetrzucał gestem arystokratycznym i dumnym, jakby co najmniej był księciem z bajki. Sposób, w jaki ekwilibryzował białą laseczką, wymownie wskazywał, iż mężczyzna na moście doskonale widział. Kobieta nie mogła wziąć go za niewidomego czy ślepego. I przepuścić. I odpuścić czy wybaczyć. Nie mogła też pogodzić się z chwilowym podejrzeniem, że być może jegomość w płóciennym kapeluszu jest głuchy i dlatego nie reaguje na jej ostrzeżenia, choć już czas najwyższy, by to uczynił. Zresztą, pomyślała ze smutkiem, nawet gdyby był ślepy i głuchy, nic nie stoi na przeszkodzie, by wreszcie zareagować na moje uniesione

i odpowiednio rozłożone stopy. Obok stop użyłam także stóp. I popatrzyła na nie z rozrzewnieniem. Użyła bowiem własnych stóp, którymi wdzięcznie zagroziła dalszą przeprawę mężczyźnie.

Ale kobieta miała tu do czynienia ze szczególnym jegomościem. Przede wszystkim był on ponad potrzebę odważny. Nieustraszość i nieugiętość były jego cechą przyrodzoną. I owszem, dostrzegł, że kobieta, która rozłożyła się na drewnianym moście, ma kulturalny głos i sądząc po stopach, ma również kulturalne ciało. Ale nie dowierzał dostrzeżonej kulturze. Raziło go, że tak z zewnątrz kulturalna istota akurat w tym miejscu mości sobie coś w rodzaju gniazda, na jego moście się, by tak rzec, jegomości. Bo to był, jak łatwo się domyślić, jego most. Dawno już tędy nie wędrował na drugi brzeg, który także był jego własnością. Wszystko w okolicy należało do niego, nawet rzeka, ponad którą się przeprawiał. Nie znalazł kobiety, która się tu jegomościła, ale ponieważ jegomościła się na jego moście, uznał, że również ona doń należy. Że na pewno jegomości się tutaj dla wyższej racji. Najprawdopodobniej pilnuje mostu i dlatego usytuowała się pośrodku. A propos, zwrócił się do niej z pańską, gdyż był jej panem, a propos, powtórzył i wytwornie się uśmiechnął, nieznacznie

przy tym skłaniając głowę i uchylając kapelusza. W myślach szukał właściwych słów dla potępienia kobiety, która pilnowała jego mostu pośrodku zamiast na jego krańcach. Most powinien być pilnowany na dwóch brzegach rzeki, nigdy pośrodku. Ale powtarzał ciągle to samo:

– A propos, a propos.

On swoje a propos i a propos. On w kółko a kobieta odwijala się w tym czasie, to znaczy rozkładała się maksymalnie w dowód wdzięczności, że jegomość raczył się przedstawić. A propos, powtórzyła, A propos.

– Na pewno zapamiętam pańską godność.

Zapadło milczenie. – Ale też, – dodała, niech pan raczy zapamiętać własną i nie przeprawia się, nie przeprawia. Wreszcie podsumowała:

– W pańskiej przeprawie czyha niebezpieczeństwo.

Na to jegomość zaśmiał się, gdyż był to jego most a on był Jegomości z krwi i kości. Właśnie nazywał się Jegomości, nie A propos. I okropnie śmieszyło go, że kobieta, która tu się

coraz głębiej i głębiej rozkładała, tego rodzaju podejrzenie wysunęła pod jego adresem. A mianowicie że on, Jegomości, mógłby zmienić swoją godność, zmienić swoje nazwisko na A propos. On przecież był księciem, wprawdzie ostatnim z rodu, ale księciem prawdziwym. Nie, nie, to wprost nie do wiary, żeby brać go za księcia z bajki, za księcia wymyślonego dla zabawy dzieci i kobiet, które pilnują przeprawy. Na tę zabawną myśl ogarnęła go furia. Mógłby ją kopnąć w brzuch, aż zwinęłaby się w kłębek i przestała tu rozkładać. Mógłby ją też kolanem wypchnąć z mostu do rzeki, ten kłębek wełny, żeby tam, w nurcie, rozwinęła się z powrotem w nic. Nie, nie, w jakieś nic, którym była od przyjscia na świat w ogóle, a już szczególnie od chwili swego rozłożenia się na jego moście.

Chciał od niej odejść.

I już nawet zrobił krok – stopę za stopą. Ale zaszumiało stop i żal mu się zrobiło kobiety. I jakiś wstyd.

Ona tylko na to czekała. Na ten jego żal. A choćby i cień litości. Oznaczało to, że jest nie tylko panem, ale i człowiekiem. Teraz już było się czego ucześcić. Teraz już miała się czego uchwycić.

Ona jedynie na ten cud czekała. Cud pod postacią litości, która rzadko miewa dostęp do tego typu jegomości.

A kiedy stopę za kolejną stopą ustawiał na moście, pot nań wystąpił i go tknął złowieszczo, że na tym pocie się potknął. Tak że w sumie się cofnął o stopę. I nic w tym dziwnego, skoro go pot tknął tak dojmująco, aż się biedak potknął.

I nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że się spocił na moście. I chociaż nadal z somnambuliczną pewnością podążał na drugi brzeg – do znanego mu celu – to jednak fakt, że go potknął w taki niezwykle sposób, jakby się o własny pot potknął, kazał mu się cofać na pozycję wyjściową. I on raz podążał a raz zawracał w okolicę kobiety, to znaczy na środek dokładnie, gdzie biło serce mostu. On przecież na progu drugiej połowy mostu się potknął. Ale nie był przesądny i dzięki temu mógł dążyć do celu. Dążyć i cofać się, czyli w sumie nie opuszczać centrum mostu. To potknięcie czy raczej pot-tnięcie powinno było, zdaniem kobiety, dać mu do zrozumienia, ale nie dawało. Ona cierpliwie czekała, ale nie dawało. Z punktu widzenia kobiety i jej cierpliwego czekania to potknięcie się Jegomości dowodziło, że w jego wnętrzu istnieje jakaś wątpliwość, jakiś prąd przeciwny. Jakby już na moście Jegomości szedł pod prąd rzeki. Przeprowadzić się na drugi brzeg to – z punktu widzenia Jegomości – dokonać wyczynu i w ogóle dokonać czynu. Ale owa domniemywana wątpliwość sprawiała, iż on nie wiedział, czy powinien trwać przy swoim projekcie, a jeżeli trwać, to czy nadal z takim rozmachem wprowadzać go w czyn. Był ostatnim z rodu a na ostatnich spoczywa wręcz święty obowiązek przeprawiania się na drugi brzeg. Ale też z drugiej strony byłoby to dokonanie czynu dla samego czynu, dla nikogo więcej, ponieważ z tamtego brzegu nie wyciągały się poń niczyje ręce. A przecież kiedyś bywało inaczej. W przeszłości dość łatwo zdarzało się, że niemal cały naród gromadził się na drugim brzegu i swe ręce wyciągał po bohaterki czyn jegomości. I tym czynem, jeszcze potem i krwią ociekającym, naród łamał się i niczym chleb spożywał. Bo wówczas naród jeszcze pragnął. A życzenie narodu jest czymś, co zobowiązuje historię. I to do tego stopnia, że często głupi czyn musiał zaistnieć nie tyle sam z siebie, co z presji pragnienia, które nazywano historyczną koniecznością.

I kiedy Jegomości z nową determinacją postąpił naprzód, kobieta nie wytrzymała napięcia:

– Panie – zawołała trwożliwie – wiem, że jesteś uosobieniem odwagi i dzielności, ale poniechaj przeprawy, nie idź tam.

Mężczyzna zatrzymał się wpół stopy i spytał:

– Dlaczego?

– Już ci to wyjawiałam, panie.

– Kobieto – rzekł Jegomości z dumą – powtórz jeszcze raz. Jak dotąd, wyjawiasz samej sobie, nie mnie.

– Chętnie to uczynię. Mogę nawet powtarzać to w nieskończoność, bo czymże jest życie, jeśli nie powtarzaniem go w nieskończoność. Już wiesz, że tam – i tu wskazała drugi brzeg – czyha na ciebie niebezpieczeństwo. I słusznie się wahasz, choć dziedziczysz nieugiętość. Twoje wahanie jest twoją mądrością. Ale powodzenie rządzi się żelaznymi prawami. Ty zmierzasz do pożądanego celu, ale zmierzasz niekonsekwentnie. O własny pot potknęłaś się, nie potykając się w istocie. Nie jesteś więc pewny pełnego powodzenia.

– Owszem – zgodził się Jegomości – ale jestem nieugięty.

– Owszem – powtórzyła kobieta – zdaję sobie sprawę. Ale ciągle nie mam jasności, czy ty, panie, zdajesz sobie sprawę, iż nie wszystkie twoje siły psychiczne zgodnie zmierzają na drugi brzeg, który jest twoim upragnionym celem.

– Zmuszę je do harmonii – rzekł mężczyzna, który nagle poczuł w sobie przyływ wewnętrznej zgodności. – I dlatego za chwilę ruszę dalej, żeby podeptać panią jako istotę, która wierzy w zabobon. Pani jest Babą sprzysiężoną z Zabobonem, co w sumie odzwierciedla pani godność. Proszę się nie obrazić, ale dla mnie jest pani Zababonem.

– To imię przyjmuję do wiadomości – uśmiechnęła się kobieta. – A panu radzę przyjąć do swojej rzecz następującą. Pan myli dalej z doskonałej. Pan mówi, że pan

Jegomości



FRANCISZEK MAŚLUSZCZAK

mostu, który był mocno podmyty przez jej niepokój o jegomości, mężczyznę bardzo, ale to bardzo uroczego, lecz zapatrzonego wyłącznie we własne stopy. W stopę za stopą a nie w stop za stopem. Tymczasem rozlegał się jej kobiecy stop, lecz on, ów piękny mężczyzna, jegomości niebywały, choć owszem, bywały w szerokim świecie, ale nie na wąskim moście z drewna, szeroko wędrował przez zwężający się most, a zwężający się z powodu kobiety. Tak, owej istoty, która, choć wąska w biodrach, w ogóle była rozłożysta, tak łatwo rozłożysta, że błyskawicznie rozłożyła się na jego przejściu. Już nie była w stanie dłużej tolerować lekkomyślności jegomości i dlatego na głos:

– Stop!! Dalej ani stopy!!

Kobieta na głos, lecz on, jak to czasem bywa w nieokreślonej sytuacji, ma swój wyznaczony cel i w związku z tym ignoruje wszelkie stop, jakie napotka na swej drodze. Ona ciągle stop, podczas gdy jegomości przeciwstawia jej swój cel, którym jest drugi brzeg. On pragnie go osiągnąć przed

Kazimiera Szczuka

Przemieszczenie powieści Witkacego zmusza w kilku kwestiach do zastanowienia. Odmiennosc języków filmu i literatury nadaje dokonaniom reżysera – Mariusza Trelińskiego pewną samowystarczalność. Tam gdzie literatura nie miesza się do obrazów *Pożegnania Jesieni*, tam niejednokrotnie widz zostaje uświadomiony ich urokiem. Natomiast zarówno w sferze znaczeń dających się z obrazów wyprowadzić, jak i w swej próbie dyskursywnego przekazu wykładni intelektualnej, film traci bardzo dużo.

Mariusz Treliński dokonał redukcji znaczeń powieściowego świata. Dotyczy to całego podłoża kulturowego, z którego wywiódł Witkacy swych pozornie mario-

czył plan niezależnego, fizycznego istnienia tej postaci. Za przykład niech posłuży wyprawa w góry – podczas gdy w powieści „zdziczała od sportów i głodówek Hela” utożsamiona zostaje z Naturą, na ekranie widzimy mieszczańską wczasowiczkę – umalowaną, okutaną w ogromne futro, z twarzą przesłoniętą gigantycznymi, przeciwsłonecznymi okularami. „Królestwo Obojga Bertzów” (czyli Hela i jej ojciec Belzebub) posiada swój wymiar freudowski, skrzętnie wyszydzone przez Witkacego i w ten sam, humorystyczny sposób zaznaczony w filmie. Prócz tego istnieje cała schulzowskość ojca i córki (zdolności do metamorfoz, upodobnienia do ptaków, wcielania się w siebie nawzajem czy odchodzenia na pewien

konwencją kryminału sprawia, że wątek ten zostaje w filmie zrelatywizowany i króliczek jako ewentualny Anioł odpada zupełnie.

Drugim aspektem zozydzenia kobiet jest – znów przez estetykę – efekt polaryzacji świata filmu na męski i żeński. Odbiera to „Pożegnaniu Jesieni” kolejny wymiar – ten, w którym (jak u Manna, Gombrowicza czy Prousta) ludzkie piękno bywa aseksualne. Innymi słowy film neguje fakt, iż Tazio jest zdolny (jak Tonio, Józio czy Marcel) do przekraczania bariery swej alienacji przez zakochanie się w pięknie różnych ludzi na różne sposoby. Ale nawet taniec z Szarfą,

re wykraczają poza historyczny konkret. Widmo komunizmu to łatwy ostatnio do wywołania duch. W istocie jednak pragmatyczne zbydlęcenie, zagłada wartości duchowych, przed którą drżał Witkacy nie odbywa się pod presją terroru, lecz drogą wolnego wyboru. To jednak temat na inne zupełnie opowiadanie.

Zastosowanie w filmie klamry, która dopowiedzieć ma wszystko, czego on sam powiedzieć nie zdołał, jest oznaką bezsilności wobec konwencji Czystej Formy – nie udaje się stworzyć w niej dzieła nie wymagającego komentarza. W rezultacie pogarsza to jeszcze sprawę, gdyż twórca, przyjąwszy oficjalnie w prologu rolę

Mariusz Treliński w szponach zła

netkowych bohaterów. Dla niektórych z nich ekranizacja realizuje tylko najbardziej zewnętrzna warstwę istnienia, co – przez estetykę – ma swe konsekwencje w dziedzinie wartościowania.

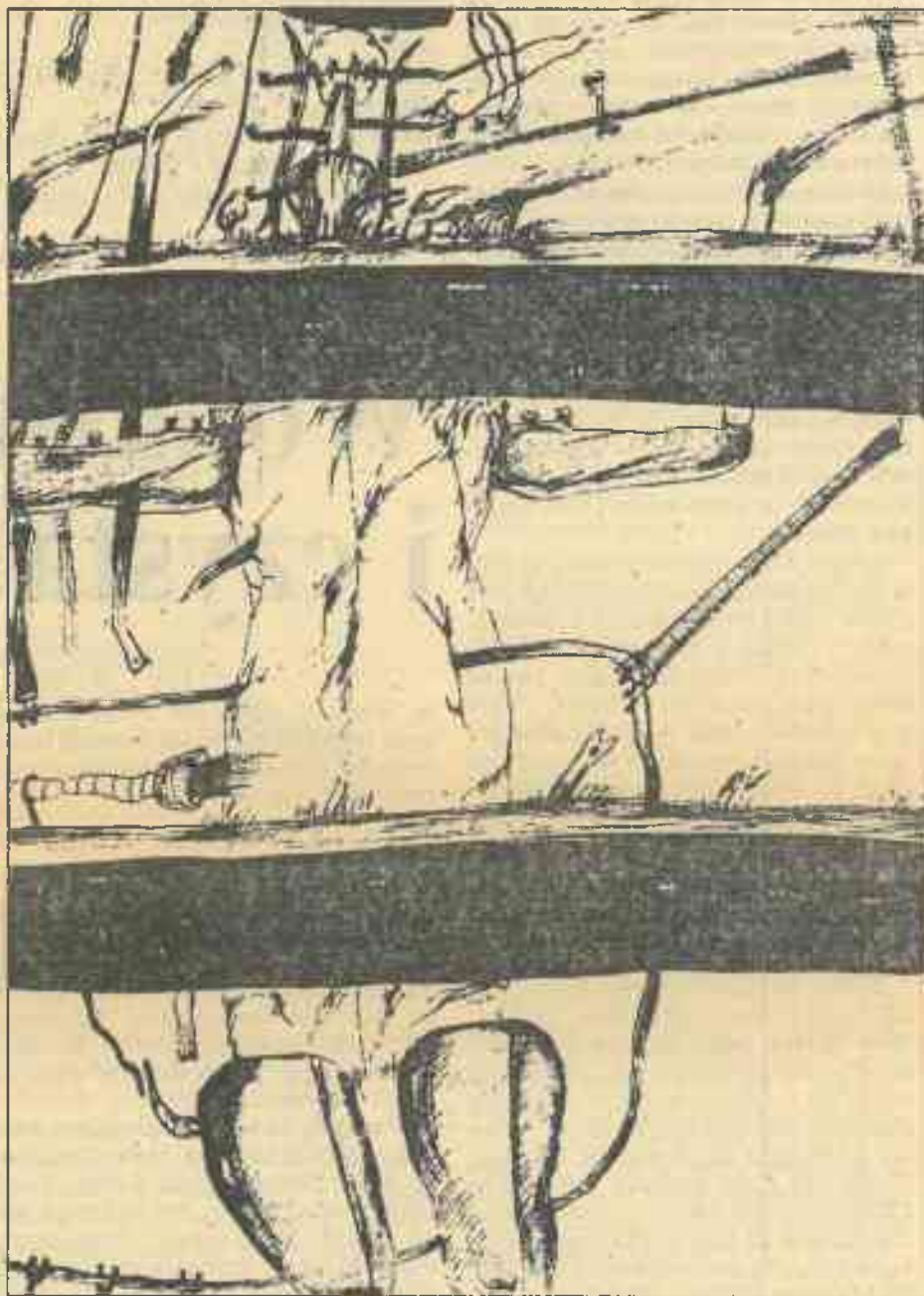
I tak na przykład Belzebub Bertz jest u Trelińskiego wykreowany przez zestawienie trzech tylko cech – żydostwa, demoniczności i komizmu. Kostiumem szatańskim staje się więc żydowski chałat a wymiarem komicznym szmonec, gdyż innych możliwości skombinowania te trzy cechy nie zostawiają. Daje to, u żywego na ekranie aktora, efekt kretyński i potworny zarazem, jak powiedziałby Witkacy. Papa Bertz jest w filmie ucieśnionym Żydkiem, który wyraża swe mądrości kaleczoną zabawnie polszczyzną i jeździ furmanką po polnych drogach zacinając konia batem. „Notoryczne podobieństwo do Belzebuba” zmienia się w podobieństwo do wsiowego Boruty, w momencie jednak, kiedy chałaciarz z galicyjskiego folkloru spełnia funkcje tworzące fabułę *Pożegnania Jesieni* to znaczy chrzci się, całuje w usta swą rozpustną córkę, którą swata włoskim hrabiom faszystom i urządza (jak to przedstawia film) we własnym domu orgie dla nagich gojek, czyli czyni to wszystko, czego mu noszącemu rytualny strój robić nie wolno – stanowić zaczyna uniwersalny obraz człowieka plugawiejącego swe sacrum. Nasuwa to podejrzenie, że Mariusz Treliński postrzega papę Bertza oczami księdza Wyprztyka, dla którego „stary Bertz (...) był widomym symbolem zła całego świata”.

Podobnie Hela Bertz funkcjonuje w filmie jako pewien abstrakt. Jest tu demonem marionetkowym, którego zewnętrzność została wykreowana na dość podstawowym poziomie estetycznego wyrafowania, gdyż przypomina ona bezwzględna żonę właściciela sprywatyzowanych „Delikatesów”. W istocie „Piekielna Żydowica” to fenomen, wobec którego narrator w powieści nie stosuje wartościowania. Kimkolwiek by ona nie była, nie należy jednak do świata „degrengolizmu” i tandety, do którego przez swój kostium zostaje wepchnięta przez Trelińskiego. Film zamierzenie ograni-

czas w niebyt) czy też ich intelektualizm. Demonizacja jest tylko jedną z „masek rzeczywistości”, tak samo jak cała objawiająca się w kolejnych wcieleniach Bertzów i fascynująca Tazia (Atanazego Bazakbala) „Tajemnica Wschodu”. W ostateczności są to wszystko produkowane przez niego i Helę figury estetyczne, generujące w powieści całą masę napięcia. Po „spadnięciu z rzeczywistości wszystkich masek” jawi się humanistyczny wymiar postrzegania „Żydowicy” przez Witkacego – jest ona samotną i nieszczęśliwą, tak jak on sam, wariatką: „Hela, w stanie półmistycznego obłądzenia i ostrej nimfomanii, objedzona indyjską mitologią, którą na próżno starała się pogodzić z Russellem, Husserlem, Bergsonem, Corneliusem, Machem i Jamesem, zbitymi w jedną kupę w jej biednym mózgu (jednym ukojeniem była teoria Wielości Rzeczywistości Chwistka) stawała się towarzyszem ciężkim nie do zniesienia. (...) Chwilami żał mu było Heli aż do łez włącznie, jej samej, nie tylko jako erotycznego obiektu – ale cóż miał robić z obłąkaną, która o niczym realnym wiedzieć już nie chciała”.

Wybranie dla Heli (z proponowanych przez Witkacego masek) jedynie maski demona sprawia, że staje się Bertzówna w świecie Trelińskiego ucieleśnieniem zła, eksterioryzowanego w ten sposób z człowieka Bazakbala.

Postać kobiety-Szatana nie zostaje zrównoważona przez stworzenie postaci kobiety-Anioła. Druga bohaterka Witkacego – Zosia, również ulega w filmie zozydzeniu, tym razem przez nadmierne ufizycznienie czy wręcz ukrólczkowanie. To także ma swoje konsekwencje w sferze znaczeń. Po pierwsze odbiera drastyczność faktowi, że Bazakbal plugawi sacrum chrześcijańskie w osobie swej ciężarnej żony, w związku z czym „wyjęty z jej krawego wnętrza syn, kilkumiesięczny Melchior Bazakbal koloru kurzego pępka na surowo” staje się ostatnią latoroślą jego zdegenerowanego rodu. Zarówno bowiem pocenie się, piskliwy głos, spierzchnięte wargi czy notoroczna głupota filmowej Zosi, jak i posłużenie się doraźnie przywołaną na użytek jej śmierci



Herszta rżnie w śledzienie

TADEUSZ BRZCZOWSKI

odtańczony przez Frycza i Peszka nie jest obrazem transformacji chuci w sferę obcowania duchowego, tak samo jak nie jest nim sentymentalna scena z Zosią (podkreślająca raczej wzajemne wyobcowanie), ani potworne tarzanie się z Helą. W rezultacie etyczne, estetyczne czy intelektualne relacje filmowego Bazakbala ze światem otaczających go osób nie istnieją kompletnie.

W „Pożegnaniu Jesieni” napięcie generowane jest między innymi przez rozbudowywanie postaci demonicznej kobiety, będącej „ucieleśnieniem żądzy życia” Bazakbala. W związku z poczynionymi na Heli zabiegami redukującymi film upatrywać musi genezę napięcia raczej w Historii, w przecuciu nadchodzącego totalitaryzmu niż w tzw. perypetiach bohaterów. Wydaje się, i to jest kolejny znak zapytania dotyczący obrazu, że zbyt pochopnie zdefiniowano w nim witkacowski lęk metafizyczny jako prorocstwo dotyczące widma komunizmu krążącego nad Europą. Jest to interpretacja oczywista i słuszna, ale przywołanie (co czyni epilog) słowa „komunizm” w kontekście współczesnych nam doświadczeń jest uchyleciem tych znaczeń prorocstwa, któ-

translatora i prezentatora Witkacego, zezwala na obarczenie siebie odpowiedzialnością za wybór sensów dzieła, do którego się dobrał. „Istotą rzeczy” staje się to, co do utworu powieściowego nie należy – jednoznaczność historycznego konkretności czy biografii autora. Pomijając fakt, że patos antytalitarne humanizmu porbrzmiewa u Trelińskiego nutką hipokryzji, to „Babranie się w utworze a propos jego utworu jest niedyskretne, niestosowne, niedzenteleńskie. Niestety każdy może być narażony na tego rodzaju świństwa. Jest to bardzo nieprzyjemne”. Adept Czystej Formy podpadł więc strasznie swemu Mistrzowi. Wyławianie z Witkacowskiej wizji rzeczywistości niektórych tylko jej elementów (zła) sprawia, że wykreowany zostaje nowy, kaleki świat. Posiada on swoistą atrakcyjność, niemniej film niszczy integralność dzieła Witkacego, gdyż za komercyjną obłudą kryje się tu barbarzyństwo płaskiego nihilizmu.

P.S. Wszystkie wyrazy i zdania, ujęte w cudzysłowy (oprócz wyrazu „Delikatesy”) są cytataami z powieści St. I. Witkiewicza pt. „Pożegnania Jesieni”.

JAMES MERRILL, *Wybór poezji*. Przekład i opracowanie Stanisław Barańczak. Zeszyty Literackie – Cahiers Littéraires, Paris 1990

Merrill, sądząc wedle jego wierszy, robi w życiu wyłącznie to, co robić chce, pisze o tym, o czym chce pisać, pisze tak, jak mu się podoba, a nie tak, jak pisać się powinno.

Wolność Merrilla jest tak pełna i doskonała, że amerykański poeta nie musi się nad nią zastanawiać, nie musi jej sobie codziennie przypominać, nie potrzebuje udowadniać sobie i innym jakim jest szczęściem. Co więcej – nie znajduje powodu, dla którego chciałby lub musiał epatować siebie i innych radością wolności.

O wolności egzystencjalnej Merrilla, rozumianej jako niczym nie skrzepowany wybór drogi życiowej, i o wolności artystycznej, pojmowanej jako pełna i absolutna swoboda twórcza, świadczy każdy jego wiersz, każde wypowiedziane i zapisane zdanie.

Człowiek wolny nie musi wolności problematyzować chyba, że pisze studium filozoficzne na ten temat. Wszystko co robi stanowi przecież o tym, że jest wolny, że wolność jest jego udziałem a nie urojonym prawem.

Jednym z ważniejszych tematów Merrilla jest miłość homoseksualna („Dni 1941 i 1944”, „Dni 1964”, „Kostas Tympakianakis”, „Odlot z Bizancjum”), Merrill pisze jednak o niej tak, jakby kwestia obyczajowej rewolty nie wchodziła w ogóle w rachubę. Miłość homoseksualna jest takim samym przejawem i wyrazem wolności, jak jedna z ulubionych przez Merrilla form poetyckiej wypowiedzi – klasycznego, często rymowanego, sylabicznego sonetu (cykle „Rozbity dom”, „Poranki w operze”, „Dni 1941 i 1944”).

2.

Dzisiaj sześćdziesięcioletni James Merrill, laureat Nagrody Pulitzera, National Book Award, Bollingen Prize in Poetry, autor niemal dwudziestu zbiorów wierszy, należy do najpopularniejszych i najwyższycenionych poetów amerykańskich. W Polsce pozostawał dotąd zupełnie nieznanym. Dzieło jego życia, poetycka trylogia *The Changing Light at Sandover* (według świadectwa Stanisława Barańczaka przez amerykańską krytykę porównywaną z arcydziełami Dantego, Milтона, Blake'a i Yeatsa), długo zapewne nie zostanie na język polski przełożona. W *Wyborze poezji* znajdujemy cztery zaledwie fragmenty trylogii.

W trakcie wielokrotnej lektury wierszy Merrilla zastanawiałem się, co jest tej poezji siłą napędową, co wyznacza jej nadrzędną perspektywę poznawczą. Odpowiedź zrazu banalna – Ameryka! – rychło ukazuje przed czytelnikiem zbawienną dwuznaczność.

Ameryka w twórczości poetyckiej Jamesa Merrilla jest wszechobecna, tyle tylko, że nigdy jako Ojczyzna, zawsze jako Świat. Merrill nie jest chory na Amerykę w tym sensie, w jakim polski poeta, mniej więcej od drugiej połowy XVIII stulecia, choruje na Polskę. Ameryka nie jest dla niego symbolem, „wielkim zbiorowym obowiązkiem”, ale realnością, rzeczywistością, w której się żyje, lecz na której kształt ma się wpływ mocno ograniczony, by nie powiedzieć, że żaden.

Poezja nie służy naprawie świata, chociaż i Merrillovi świat jawi się w kategoriach chaosu; poeta amerykański nawet nie próbuje wyręczać polityka, ekonomisty czy psychoanalityka, nie zajmuje się gospodarczym, społecznym czy patriotycznym interwencjonizmem.

Siła poezji Merrilla (być może jest to siła poezji amerykańskiej jako takiej) tkwi w tym, że nie wypełnia ona, bo wypełniać

Janusz Drzewucki

nie musi, żadnego społecznego oczekiwania, że jest wolna od powinności obywatelskich i chrześcijańskich, że próżno w niej szukać świadectwa etosu lewicy, solidarności czy Bóg wie jeszcze czego. Przez wiersze Merrilla płynie „Czarny łabędź”:

Złudzenie: czarny łabędź zawsze w nas przełamie
Rutynę, nieoczekiwanie
To pierś muskając dziobem, to swój wizerunek;
Sunąć przez staw naszego życia, jednym drgnieniem,
Jednym obrotem szyi porządkuje zamęt,
To, co czas zniszczył – reperuje,
A ciężar czasu w czarne piórko zmienia.

– oto dowód niezawisłości artysty w sztuce

Wolność, autobiografizm i czysta poezja

ce, wiary, że sztuka jest bytem samoistnym, że twórca ustanawia w swoim dziele porządek z chaosu, który został mu przez świat ofiarowany.

3.

Łabędź wydaje się być dobrze zdomowiony w poezji anglojęzycznej; spotykamy go, oto przykłady pierwsze z brzegu, u Williama Butlera Yeatsa, Sturge Moore'a, Robinsona Jeffersa, nie sądzę jednak, aby informacje te musiały mieć decydujący wpływ na rozumienie wiersza Merrilla. A przecież jego poezja skrzy się wręcz od aluzji, cytatów i odwołań.

W utworach Merrilla pojawiają się z nazwiska Proust, Malraux, Hesse, Baudelaire, Rilke, Hofmannsthal, Valéry, Yeats, Eliot, Auden, Stevens, bez większego trudu identyfikujemy cytaty i kryptocytaty z dzieł Moliere'a i Szekspira czy Goethego, aluzje do Ksenofonta i Gravesa, pastisz stylu Kawafisa. W swoich poetyckich opisy, rewelacjach i konstatacjach Merrill wspiera się dokonaniem Matthew Arnoldda, Stephena Spendera, swoje utwory dedykuje poetom Hansowi Lodeizenowi i Elizabeth Bishop. A jednak bałbym się określić lirykę Merrilla mianem poezji kultury czy poezji intelektualnej.

Bogactwo warstwy metaliterackiej jest potwierdzeniem elitarnego charakteru poezji, oczywistości, której nie uda się zakwestionować terrorem demokracji i kultury masowej. Poezja Merrilla nie jest poezją dla każdego, nie huczmy się i nie oszukujemy, jest poezją dla wtajemniczonych, tyle tylko, że wtajemniczonym ma szansę zostać każdy, dla kogo dyktat sztuki („Dla Prousta”) nie jest racją pięknoduszów, ale kreatywnym wyzwaniem.

W poetyckim świecie Jamesa Merrilla równoznaczną rolę spełniają rozum i emocja, logika i wyobraźnia. Pamiętając o tym, wykrywamy drapieżność statycznych zdań w opisie („Dwa obrazy z Florydy”, „Filiżanka w chiński desień”), powściągliwych, prawie dziennikarskich relacji („Wielkowiejska rekonwalescencja”, „Spóźniona pielgrzymka do Nowej Szkocji”), banalnych anegdot („Pies wytwórni Victor”, „Domowa mucha”, „W górę i w dół”), szczątkowych i szkieletowych notatek parapoetyckich („Mały błąd logiczny”, „Stroniczka z Koranu”); odkrywamy

istotę sprzeczności dynamizujących poetyckie przesłanie.

Gdy poznanie świata i siebie w świecie okazuje się niemożliwe, bo zawsze niepełne, wówczas prawomocną metodą poznania może być seans spirytystyczny, okultystyczne misterium („Głosy z tamtego świata”, „The Changing Light at Sandover”), można pozwolić mówić przedmiotom i zwierzętom („Lustro”, „Ośmiornica”). Nie ma w tym nic z ekstrawagancji czy eskapizmu, James Merrill mówi w swoich wierszach nie tylko o własnych lękach, nadziejach i namiętnościach.

4.

W najefektowniejszych przedsięwzięciach twórczych poety, takich jak „Noc tysiączna druga”, „Rozbity dom”, „Przepadłe w tłumaczeniu”, „The Changing Light at Sandover”, toczy się nie ustający dialog pomiędzy literaturą i rzeczywistością. Rzeczywistość w końcu istnieje o tyle, o ile zagarnie ją literatura.

Merrill należy do tych twórców, którzy wierzą, że poprzez sztukę – dokładniej zaś w sztuce – da się ocalić świat. To nie jest

Twarzą, z oczami łzawiącymi z zimna – Z zimna? Niech będzie. Z samowiedzy.

– bo nie ulega wątpliwości, że celem człowieczej podróży w czasie i przestrzeni, wadzenia się z losem i przypadkiem nie jest żadna „miodowo-płynna doskonałość”, ale – zaledwie czy aż? – „Przyziemne kleczenie jakiegoś tam domu. Z tego, co się przekochało”.

W liryce Merrilla żyć znaczy tyle co kochać, miłość jest – powiedzielibyśmy bez mała naukowo – funkcją egzystencji; wyznania miłości pozwalają zrozumieć znaczenie uczucia, emocji i wyobraźni w procesie kształtowania się intelektualnej tożsamości ludzkiej.

5.

Stanisław Barańczak we wstępie do *Wyboru poezji* radzi rozpocząć lekturę Jamesa Merrilla nie od „Czarnego łabędzia”, otwierającego książkę, ale od „Lustra”, w którym podług tłumacza „mystyczna iluminacja” zespoliła się z „codzienną zwyczajnością”, co pozwala na ochrzcz-

nie poety mianem twórcy metafizycznego.

James Merrill nie jest jednak poetą metafizycznym czy mistycznym, jak John Donne, William Blake czy Thomas S. Eliot, nie jest również poetą publicystycznym, chociaż jest rzeczywiście doskonałym kronikarzem egzystencji.

W jego wierszach zapisane zostało zdziwienie człowieka światem, jego urodą i brzydotą, brzydotą urody i urodą brzydoty, światem który jest jednocześnie porządkiem i chaosem, który jest nieogarniony. Niepojętość stworzenia objawia się Merrillovi, a przecież nie tylko jemu, przypadkiem: w czasie „Nocnego pływania”, gdy dochodzi do zawarcia przymierza nagiego, rozgrzanego dziennym światłem, ciała z kryształowo zimną wodą jeziora; człowieka z naturą, człowieka ze Stwórcą:

Jeszcze raz – ostatni – masz na sobie Szatę swego pana, rozległą, Roziskrzoną fałę, z całym globem, Z gwiazdą w dół po twarzy nieba zbiegłą

Czy poezja ta stawia romantyczny znak równości pomiędzy życiem a literaturą? Oczywiście, że nie, ale niewykluczone, że na jej przykładzie można zdefiniować ideę „poezji czynnej”. Merrillovi chodzi niewątpliwie o coś innego, o pokazanie, że ludzkie życie jest czystą poezją. Czystą poezją jest zdumiewający wiersz „Kłoda”, który przytaczam w całości:

Kiedy płomień rozwidlił się jak nagła ścieżka,
Drgnąłem, jakby ubyła cząstka mnie samego.
Maso tętniąca wżwyz, popiołu mgiełko spierzchła,
Skarbie światła pędzący w nicość – i cóż z tego
Prócz iskry i wzruszenia ramion, kłodo śmieszna?

Ten obraz jest we mnie od pierwszego kontaktu z twórczością Jamesa Merrilla, przejmujące doświadczenie sensu życia, którym jest śmierć. Bezbronny wobec przyrody i żywiołów człowiek okazuje się człowiekiem, gdy jego „ja” roztopi się w huku ognia, wody, ziemi i powietrza.

Marek Karpiński

Podróż do Azji

BARBARA SKARGA *Po wyzwoleniu... 1944, 1956*. Wydawnictwo „W drodze”, Poznań 1990

Słuchałem kiedyś wykładów Barbary Skargi z filozofii polskiej. Przekazywała mi ona wówczas swoją wiedzę. Wiedza jest o tyle łatwa do przekazywania, że bywa ubrana w gotowe formułki. W takiej się ją nabywa formie, w takiej utrwała egzaminami.

Przeczytałem książkę Barbary Skargi: *Po wyzwoleniu... 1944, 1956*. Przekazywała w niej swoje doświadczenia. Z tym sprawa trudniejsza – nie moc uznanej formy, gotowej recepty. „Trzeba powoli z ciemności wydobywać obrazy i odsłaniać ich barwy i linie; aby nabierały życia i pomogły odszukiwać inne. Chronologia nie ma tu znaczenia, nie chodzi mi bowiem o przedstawienie kolei własnych losów”.

Chodzi o przedstawienie przygody z wyspami okrutnego archipelagu. Dziś, kiedy mamy do czynienia z zalewem książek o tej tematyce – odrabiamy półwiekowe zaległości – możemy być trochę zmęczeni. Pamiętam w latach sześćdziesiątych przesył literaturę dotyczącą hitlerowskich kacetów. Było jej już zbyt dużo, już męczyła. Zalew przyszedł i odszedł a zostały po nim dwa klejnoty: książki Borowskiego i Kielera. Ośmielałem się prorokować, że kiedy rozpocznie się odpliw literatury łagiernej gdzieś ku zapomnieniu, zostaną dwa cenne dzieła: pióra Herlinga-Grudzińskiego i Skargi. W takich właśnie parach. Borowski i Herling to zapisy względnie na świeżo, bez dystansu, to par excellence literatura zachwycająca drapieżną i brutalną urodą. Kielar i Skarga to dzieła pisane po głębokim przemyśleniu i przetrwaniu, które powstały nie kilka lecz kilkadziesiąt lat po opisywanych wydarzeniach.

Trud intelektualny Barbary Skargi przypomina dokonania uczonych etnologów czy też dziewiętnastowiecznych podróżników-odkrywców. Wchodzą do jakiegoś „innego świata” i prowadzą coś, co w języku metodologów nazywa się „obserwacją uczestniczącą”. Zastanawiają co mogą znaczyć zaklęcia szamanów, dociekają jakie są prawa inicjacji, badają znaczenie ubiorów i tatuaży, ważą ile warte są koraliki, a ile perkalce. Ryzykują życiem jak Livingstone, ryzykują że ich kości pozostaną na zawsze wśród dzikich. Różnica w tym, że w swą podróż Barbara Skarga wybrała się nie z własnej woli.

Ma ona bardzo mocne poczucie swojej odrębności. Nie tyle odrębności narodowej – pamiętamy ile narodowości stapało się w tyglu *Isprawitielno Trudowych Lagieriej* – co kulturowej właśnie. Kulturowej odrębności, ale i wyższości. Spoziera na tubylców jak Stanley na swoich aszkarisów wierząc, że świat dzieli się na Europejczyków i innych.

„Wielki obóz to przede wszystkim stara rosyjska i sowiecka inteligencja niszczone od rewolucji po wojnę. Na ogół jest lojalna i milczy. Jakże można mówić o swoich procesach i wyrokach, skoro do dziś jedni wierzą, że są winni i wstydzają się, drudzy zrozumieli, że ich oszukano i wstydzają się jeszcze bardziej. Patrzą więc z zazdrością na Polaka, Rumuna czy Węgra, który kpi sobie z owej nieprzyjacielskiej władzy, nie uznaje żadnych jej racji i z podniesioną głową wspomina i sędzi i wyroku, świadczą one bowiem

tylko o jego bohaterskiej przeszłości i pełnej moralnej racji”.

Mimo swego poczucia wyższości autorka potafi z przenikliwością widzieć i analizować świat, w którym wypadło jej przebywać. Patrzeć chłodnym okiem, badać sine ira et studio. Dla przykładu sprawa dręczenia więźniów solonym śledziem. Jeszcze w latach osiemdziesiątych Irina Ratuszyńska podtrzymywała tę sagę. Tymczasem autorka *Po wyzwoleniu...* zachowuje się prawdziwie po marksistowsku: baza jest ważna, nie nadbudowa.



TOMASZ SIKORSKI

„Ileż jest takich drobnych wydarzeń, które niedoświadczony więzień interpretuje opacznie. Legendy opowiadano o złośliwym karmieniu soloną rybą, gdy brakowało wody. To prawda, bywały okresy, kiedy jedynym pożywieniem była ryba, a z wodą było kiepsko. Czy zamierzano pogniebić jeszcze bardziej biednych zeków? Nie sądzę. Winna temu była fatalna gospodarka i jeszcze gorsza dystrybucja. W więzieniach brakowało wader, kranów w celach nie było, zaopatrzenie więc w wodę takiej ilości więźniów przedstawiało problem niemożliwy do rozwiązania. A że dostawy ryby, o którą w Rosji znacznie łatwiej aniżeli o mięso, przychodziły regularnie, nic dziwnego, że właśnie nią karmiono. Latem mięso się psuje, solona ryba przechowuje się doskonale. Rybę więc dawano i podczas etapów, gdzie znów o wodę było trudno. Przynoszono nam do wagonów wiadro na każdej większej stacji, ale trzeba się było trochę umyć, trochę wypić i raz dwa wiadro pokazywało dno. Pragnienie męczyło, to prawda, ale... Poznałam ten kraj i wiem, że więcej w takich chwilach nieudolności, braku organizacji, obojętności wobec więźniów i zwykłego przejawu nędzy, niż zamierzonego działania”.

I jeszcze jedno. Zauważyła ona, że na granicach ojczyzny międzynarodowego proletariatu rozciągnięto druty kolczaste. Pas zaoranej ziemi tworzy zakazaną strefę. Patrole z psami chodzą od jednej wieży obserwacyjnej do drugiej. Fakt, że owych zewnętrznych wochrowców nazywa się pogranicznikami i że otoki na czapkach mają inny kolor nie powinien przesłaniać nam obrazu. A obraz rysuje się taki oto: ZSRR to wielki obóz. Ma lepsze i gorsze baraki. Ma nawet swój karcer, gdzie kruszeją niepokorni. Ten karcer to właśnie Archipelag GUŁag. Nie zapominajmy, że to tylko część kontynentu. Ma naczelników i naczelniczek, lepiej usta-

wionych i szarą zekowską masę. Ma sytych chlebożerców i tych, którzy dochodzą na „atrofię alimentarną”. W środku rządzą żelazne prawa: układy (*blat wyższe narkoma* – układ może więcej niż minister) i oszustwo (*tufa*). To świat czarnego rynku, ale jasnych sprawozdań, marnotrawstwa rozciągniętego na dwa kontynenty i równie szerokiej zbrodni. Całą ludność posadzili z 58 artykułu. *Wnimanje zakluczonyje, w putli isledowania nie razgawariwat, nie raztiagiwatsia, nie ogliadywatsia, szag w lewo, szag w prawo, konwoj prinimajet arużle bez priedupieżdienta, szagom marsz*. Dwa razy do roku – na 1 maja i w rocznicę Wielkiego Października odbywa się wielki razwód naroda na rabotu. Orkiestry grają przy tym marszową muzykę.

Ciekawy jest język tej książki. Nazwałbym go makaronicznym. „Dbano o nas, abyśmy tak głupio i szybko nie umierali, gdy państwu brak *czuguna i stali*. Dwa obcojęzyczne wtręty. Trudno by było zastąpić polskimi odpowiednikami. Należą bowiem one do frazeologii radzieckiej propagandy, a tłumaczenie zwią-

próbą oszustwa. Do tego kłamstwa nie należy przykładać ręki.

Jak ważny jest język dla człowieka radzieckiego, niech zobrazuje następująca anegdota: „Byłam chora. Babskie dolegliwości po wygódkach na mrozie. Musiałam się leczyć. Pierwszy raz Swirin zwolnił mnie bez słowa do lekarza, do rejonu. Kazano mi jednak zrobić badania. Wyznaczono je na jakiś dzień tego samego tygodnia. I wówczas Swirin odmówił zezwolenia na opuszczenie kolchozu. Jako zesłana znajdowałam się pod zarządem administracyjnym MWD i bezpośrednią kontrolą przydził kolchozu. Był w prawie odmówić, żądać abym została w pracy, skoro jeszcze nie umierałam. Trafił mnie szlag. Jak stara *blatniaczka*, choć nigdy dotąd w kolchozie nie rugałam, sypnęłam wiązanką, prawdziwą wiązanką, długą, wymyślną, według wszelkich prawideł z wasystkimi wyrazami na h, b, p itd. w coraz piękniejszych i bardziej wymyślnych stylistycznych figurach. Patrzył na mnie oszołomiony, wreszcie twarz mu się rozjaśniła w szerokim uśmiechu i wykrzyknął: – Piotrownia, wy prawdziwy sowiecki człowiek, idźcie, idźcie, leczcie się, kiedy tylko zechcecie”.

W kraju, którego język zna tylko frazeologię nowomowy lub wulgaryzmy, porozumienie nie jest możliwe. Dlatego, między innymi to społeczeństwo jest tak zatamizowane.

Specpojezd Nr 517 przywiózł autorkę do Polski po 12 latach spędzonych w obozach i na tak zwanej wolności, która się przecież od obozów nie różni. Po powrocie zajmuje się pracą naukową (historią filozofii). Zostaje profesorem zwyczajnym. Pośród licznych krzywd, jakie wyrządzono ludziom i narodom jest i ta: zaaresztowano na długie, najbardziej płodne lata pewien potencjał intelektualny. Ileż to nie napisanych książek, nie wygłoszonych wykładów, nie wykształconych uczniów. Barbara Skarga nie była jedyną, jej udało się powrócić. Nikt się nie dowie, ilu niespełnionych profesorów filozofii spoczywa pod pokładami workuciekiej linii kolejowej. Książka *Po wyzwoleniu...* jest częściową rekompensatą, formą odplaty, zadość uczynienia za te dwadzieścia zmarnowanych lat. Uczynienia zadość pełnego gorczy: „Kiedyś, kiedy jeszcze znajdowaliśmy się w obozie, obiecywaliśmy sobie opisać go z humorem jako świat piramidalnego absurdu. Dziś trudno mi zachować ten humor, może właśnie dlatego, że patrzę z dystansu, że już nie jestem aktorem a widzem, świadomym spustoszeń moralnych i fizycznych, jakie te lata przyniosły”.

ków frazeologicznych jest zajęciem chybionym i obyczajem niestosowanym. Słowa te nie tylko przydają *couleur locale*, ale i autentyzmu. Raziło mnie jednak używanie przez autorkę słowa: dystrofia. To ciekawe słowo. Wymyślono je w czasie oblężenia Leningradu. „Dystrofia alimentarna” znaczy po prostu głód, niedostatek pożywienia. Ale brzmi godniej, jak nazwa jakiejś zakaźnej choroby. „Zdechł z głodu” brzmi brutalnie, choć szczerze, wyrażenie „zszedł na atrofię alimentarną” jest w jakimś sensie kłamstwem,

Matczyne trwanie Zaorskiego

PIOTR WASILEWSKI, *Świadectwa metryk – Polskie kino młodych w latach osiemdziesiątych*. Oficyna obecnych, Kraków 1990.

Pierwszą książkę o polskim kinie lat osiemdziesiątych – *Świadectwa Metryk* Piotra Wasilewskiego należy czytać od końca. Na końcu bowiem znajduje się posłowie znanego krytyka nazwiskiem Krzysztof Mętrak. Mętrak omawia wszystkie zalety pracy Wasilewskiego, następnie omawia też wady, zwąc je wszak zaletami. Wreszcie określa książkę jako dokument. Mając w pamięci określenie Mętraka możemy śmiało przejść do lektury. (W dalszym ciągu należy zachować kolejność odwrotną w stosunku do zaprojektowanej przez wydawcę). Czytamy 22 (dwadzieścia dwa) wywiady z ludźmi kina aktywnymi w dziewiętej (nie zaś ósmej, jak utrzymuje autor) dekadzie XX wieku w Polsce. Jest to niewątpliwie bezcenny dokument epoki. Dalej jest już

gorzej. Dziesięć artykułów krytycznych Piotra Wasilewskiego pomieszczonych w pierwszej części książki stanowi trudny orzech do zgryzienia. Dlatego pomijam ją milczeniem. Jednej rzeczy darować nie mogę. Nie wolno wydawcy handlować książką, w której nie przeprowadził korekty. Dobrze napisany artykuł przemienia się w bełkot jeśli nie usunie się zeń kwiatów w rodzaju „kompensacji zastępczych” czy przywołanego w tytule „matczyne trwanie Zaorskiego”. W ten sposób wydawca krzywdzi czytelnika i autora zarówno. Wreszcie rzecz ostatnia. Książka została poprzedzona wstępem którego klarowności nie powstydziliby się Władysław Machejek. Autor wstępnie mianuje autora omalże młodym Irzykowskim (przedwcześnie) a książkę nazywa przełomową (na wyrost). Dlatego ceną książkę Wasilewskiego należy czytać od końca. Co było do okazania.

Wojt

przeгляд zagraniczny

Wiktoria wiktoriańskiej prozy

Co jest marzeniem wydawców i księgarzy? Oczywiście znakomita literatura, która się świetnie sprzedaje. Książek, które spełniałyby oba te warunki, nie jest wbrew pozorom zbyt wiele. Rzadko zdarza się, żeby trudna, wysublimowana, pełna literackich odniesień proza zdobywała rynek i dziesiątki tysięcy rozemocjonowanych czytelników.

Tak działo się z książką Thomasa *The White Hotel*, taki był casus *Imienia róży* Umberto Eco. Obie te książki otrzymały prestiżową i lukratywną Booker Prize (nagrodę wydawców). Ostatnią laureatką tej nagrody jest angielska pisarka A. S. Byatt, starsza siostra o wiele bardziej znanej Margaret Drabble.

Na okładce widnieje bajecznie kolorowa reprodukcja obrazu Burne Jonesa. Wyobrażona w manierze prerafaelitów nimfa o bujnym ciele, przysłoniętym półprzejrystą tuniką, w wieńcu na głowie, zwraca się kusząco ku mężczyźnie na pół wynurzonemu z wody czy mgielnych oparów. Obraz przedstawia uwiedzenie czarodziejki Merlina. Nad nierówno przyciętym, jakby oderwanym górnym brzegiem, eleganckie, stylizowane na art-nouveau litery układają się w napis POSSESSION (posiadanie, opętanie). Książka jest duża, wygląda niezwykle solidnie. Taka jest również zawartość.

Possession jest ćwiczeniem z literatury wiktoriańskiej, erudycyjną, trudną prozą, której nie można czytać jednym tchem, lecz przemyślać i kontemplować. Trudno zrozumieć na czym polegał błyskawiczny, rozprzestrzeniający się sukces tej książki. Niemniej jednak sukces ten jest faktem. Wydawca, Random House, skromnie wydrukował w październiku 9 tysięcy egzemplarzy. W tym samym miesiącu *Possession* uhonorowano nagrodą wydawców a niedługo potem irlandzką nagrodą Times-Aer Lingus International Fiction. Do początków stycznia książka miała już osiem dodruków, i 77 tysięcy sprzedanych egzemplarzy w samej tylko Ameryce, która wcale nie jest łatwym rynkiem dla trudnych książek. Osiągnęła pierwsze miejsce na liście bestsellerów, począwszy od list wszystkich indywidualnych czasopism i literackich dodatków po najwięk-

sze angielskie i amerykańskie gazety ustawiające w hierarchii powieści roku.

Szefowa działu sprzedaży w Random House nie posiada się ze szczęścia. Jeszcze przed świętami mało kto słyszał czy czytał *Possession* – w styczniu jest to podstawowy temat rozmów w liczących się, opiniotwórczych kręgach. Sukces amerykański tłumaczy prestiżem nagrody wydawców – nawet jeśli czytelnicy o niej nic nie wiedzą, to wiedzą i liczą się z nią księgarze, na owych nieświadomych czytelników wywierający wpływ sobie tylko znanymi sposobami. A to dopiero początek.

O czym jest ta tajemnicza i pasjonująca książka? O odkrywaniu tajemnic przeszłości. Zaczyna się wręcz banalnie – dwaj młodzi literaturoznawcy odkrywają nieznane listy, będące historią tajemnego romansu między dwójkiem wiktoriańskich poetów; jeśli nawet nie faktycznego romansu, to wzajemnych konkwist dokonywanych za pośrednictwem myśli, i z wykorzystaniem literackich talentów.

Bohater nazywający się w powieści Randolph Henry Ash, jest wzorowany na postaci Browninga; pisze – jak na porządnego wiktoriańskiego poetę przystało – obszerne dramatyczne monologi. Dama, Christabel LaMotte, wzorowana na Christinie Rossetti, pisze krótkie, „kobiece”, przeestetyzowane wiersze, ale planuje długi poemat. Wybierając życie w samotni (towarzyszy jej tylko przyjaciółka), zdaje sobie świetnie sprawę z dwoistości tej sytuacji – czuje się bowiem jednocześnie wykształconą kobietą, płodną pisarką, ale także dziewczyną zamkniętą w wieży z rycerskich romansów. Jej poemat dotyczy uwiedzenia Merlina przez czarodziejkę Vivien.

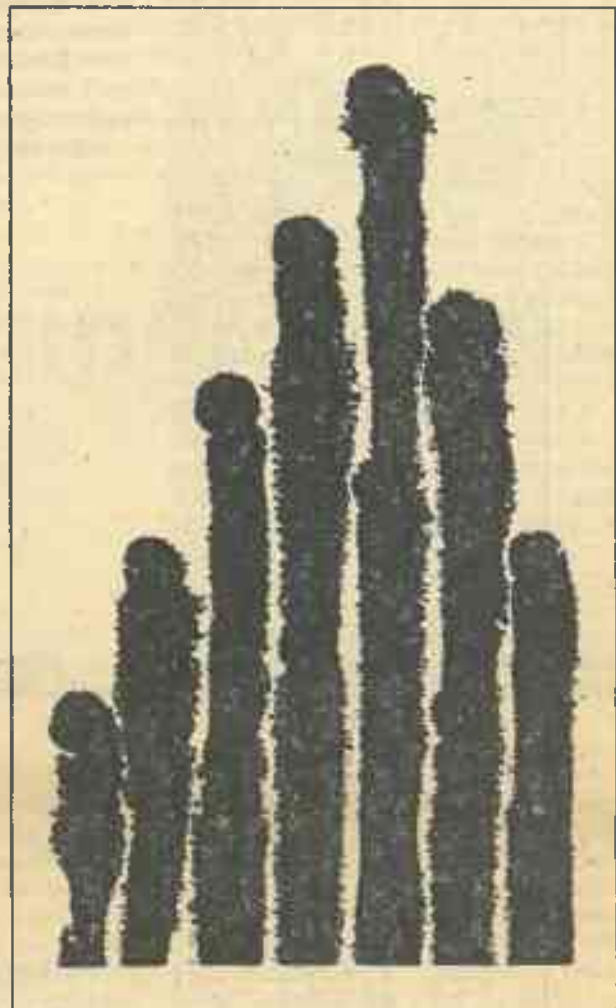
W miarę pogłębiania znajomości Ash jest coraz bardziej zauroczony osobowością Christabel. Oboje pisują do siebie dużo i pięknie. Autorka *Possession* nie zadowolili się cytatami z prawdziwej wiktoriańskiej korespondencji ani jej krótkimi imitacjami. Napisała kilkadziesiąt długich listów miłosnych całkowicie w manierze epoki, mało tego, napisała też kilka wielostronicowych poematów za Randolpha Asha, a za heroinę – dwa długie alegoryczne opowiadania prozą. W książce znaleźć można także długie fragmenty z dzienników intymnych innych wymyślonych pisarzy. A. S. Byatt włożyła w to – i zadała czytelnikom – mnóstwo pracy. W efekcie powstała książka równie przekonująca jak dokumenty z epoki. Treść plus okładka mają wspólnie ogromną siłę przebicia.

W mini-wywiadzie zamieszczonym w „Newsweeku” z 21 stycznia 1991 obok artykułu Petera S. Prescottta o sukcesie „wiktoriańskiej niespodzianki”, 54-letnia pisarka zwierzyła się, że nawet nagroda w wysokości 80 tysięcy dolarów nie ucieszyła jej tak bardzo, jak wyzwolenie się wreszcie spod pręgierza splecionych opinii o jej pisarstwie, które, jak z góry wszyscy zakładali, musi być imitacją powieści Margaret Drabble, choć nie jest. *Possession* to piąta książka A. S. Byatt, pierwsza jednak

napisana w całkowitym skupieniu, bez pełnienia dodatkowo obowiązków nauczycielskich czy macierzyńskich. Za otrzymane pieniądze zamierza zbudować sobie we Francji idealną pracownię twórczą i odtąd pisać już tylko bestsellery.

Warto się zastanowić na czym polega sukces wiktoriańskiego pisarstwa dzisiaj. Wydaje się, że czytelnicy zmęczeni są tak samo eksperymentowaniem w powieści, jak i próbą uczynienia jej bardziej „szczerą” przez fikcję osobistą lub powieść autotematyczną. Odrzucając więc modernistyczne i awangardowe dokonania, tak samo jak dzienniki i literaturę o tworzeniu literatury. Realność polityczna bywa dużo bardziej zaskakująca niż polityczna fikcja. Chcieliby odpocząć przy porządnym wiktoriańskim czytadle i wejść w jego świat tak, jak się wzuwa stare i dobrze wydeptane papucie. Czytelnicy chcą aby literatura dawała im odpoczynek. Tytuł książki A. S. Byatt – *Possession* można też tłumaczyć jako „zawłaszczenie”, którego autorka dokonała na tych wszystkich, którzy pragną kulturalnego relaksu.

Hanna Baltyn



JÓZEF HAŁAS

Pisarze – od nowa

Zmianom społeczno-politycznym w krajach byłego Ost-bloku towarzyszą ożywione dyskusje na temat roli i kondycji literatury, teraz i w nieodległej przeszłości. Interesującą wypowiedź dotyczącą literatury słowackiej – ale, jak można sądzić, także czeskiej – zamieścił bratysławski miesięcznik „Romboid” (12/90). Artykuł autorstwa Jozefa Bžocha nosi tytuł *Godzina zero dla literatury*.

„Literatura słowacka przeżywa okres przelomowy. Pisarze z przestrachem uświadamiają sobie przede wszystkim, że definitywnie skończyły się czasy, kiedy z rogu obfitości mógł uszczknąć coś każdy, kto nie był objęty zakazem publikacji. W kulturze obowiązywała zasada: mniej wolności, więcej pieniędzy. Dziś jest dokładnie na odwrót.

Mniejsza o to, czy obawy te są uzasadnione. Pewne jest jednak, że dobra literatura obroni się zawsze, mimo zalewu komercji. Sytuacja pisarza będzie oczywiście trudniejsza niż jeszcze całkiem niedawno, lecz wizja totalnego zaniku literatury, tak często teraz rozważana, jest z gruntu mylna. Przecież nigdzie na świecie nie zaistniał przypadek, by literatura narodowa przestała istnieć i rozwijać się wyłącznie z powodu pustek w państwo-

wej kasie. Podobne pomyłki i hipotezy stanowią część typowego dla naszych czasów syndromu: wprawdzie większość aprobuje nową sytuację, lecz jednocześnie jest pełna obaw o nieznaną przyszłość. Występuje tu swoisty paradoks: przekonanie, że nie można było oczekiwać niczego, w sensie psychicznym było mniej dokuczliwe aniżeli niepewność, co przyniesie jutro. [...] Jest to jednak zaledwie zewnętrzny aspekt współczesnego życia literackiego.

Wewnętrzne oblicze literatury wydaje się być aktualnie nieuchwytnie. Bez wątpienia dojdzie do dużych przesunień, podczas których odruchy samoobronne będą zapewne odgrywać większą rolę aniżeli chęć do krytycznej autorefleksji. [...]

Lata 1938, 1945, 1948, 1968: każde z tych przesilen historycznych oznaczało dla literatury szok. Część pisarzy weszła do establishmentu, inni udali się na emigrację, jedni się przystosowali, drugich zakneblowano. Nigdy nie panowała u nas normalność – tylko normalizacja. Nic więc dziwnego, że w takim stanie rzeczy świadomość literacka nabyła cech schizofrenicznych. Skoro obowiązywały kryteria nie artystyczne, lecz ideologiczno-polityczne, musiało to na organizmie literackim odcisnąć wyraźne ślady. «Ślad syg-

nalizuje bliskość przedmiotu, choćby ten był nawet bardzo oddalony», napisał Walter Benjamin. I my do dziś odczuwamy bliskość wypaczonych kryteriów wartości. Każde nowe pokolenie uczyło się innej historii literatury, nigdy nie kompletnej, za to zawsze zdeformowanej i wykastrowanej. (...)

Skoro stare krzywdy trudno naprawić nowymi, nasuwa się pytanie, jaki modus vivendi należy stworzyć w demokratyzującym się społeczeństwie pomiędzy literaturą skompromitowaną, kompromisową a nonkonformistyczną. Czy sędziowie, kaci i ofiary mogą zasiąść przy wspólnym stole w poszukiwaniu tak zwanej prawdy? Czy nie dojdzie ponownie do ustalenia jednostronnej optyki?

Nastal czas rzetelnej klasyfikacji. [...] Trzeba będzie ocenić na nowo dorobek także tych pisarzy, o których ugruntowano opinię jako o „klasykach”, tych, których moment historyczny zrzucił z eksponowanych miejsc, twórczość i działalność których nadal jest mocno osadzona w obowiązującym do niedawna systemie wartości. W nie tak całkiem odległych czasach jeden z owych «klasyków» zadeptykował swój tomik wierszy partii komunistycznej, zamieszczając między innymi szokujące stwierdzenie, że właśnie ta partia zeń «zrobiła człowieka» (adekwatniejsze byłoby «ministra»). Wyznanie to mogłoby być punktem wyjścia do nowego odczytania i oceny jego twórczości. Rzecz

jasna nie powinien mieć miejsca swoisty sąd literacki; chodzi tu o analizę estetyczno-filozoficzną, która pozwoliłaby odsłonić noetyczne oraz moralne korzenie obłędnej ideologii, masakrującej zarówno więcej – jak mniej utalentowanych. Nie obędzie się więc bez wiwisekcji. Znaczna część słowackiej literatury stała się czytelniczo absolutnie niestrawna; droga, którą podążała, jest usiana książkowymi zwłokami. I jeśli coraz bardziej wyzbywamy się ideologicznych uprzedzeń, zastanawiając się nad ogólnoludzkim znaczeniem dziesiątków dzieł literackich, tym mocniej uzmysławiamy sobie, jak głęboko sięga nowotwór komunistycznej iluzji oraz fałszowania rzeczywistości. [...]

Dziedzictwo po roku 1945, lecz przede wszystkim po '48 i '69, oznacza dla nas w sensie intelektualnym raczej obciążenie niż inspirację. Nie możemy się go jednak pozbyć – musimy z nim żyć, abyśmy mogli dokonać pełnego z nim rozrachunku.

Jeden ze słowackich historyków literatury określił rok 1970 jako punkt zerowy naszej literatury: tym samym wyszedł gorliwie naprzeciw władzy normalizatorów, która uważała siebie za nowy początek, chociaż niosła w sobie załączki własnego niesławnego końca.

Rzeczywistym punktem zerowym jest jednak dopiero rok 1989, w którym definitywnie zmienił się klimat polityczny – a zatem i duchowy – w Europie Wschodniej”.

oprac. Jan Stachowski

Nazbyt wszystko

„Cóż po artyście w czasie marnym”

„I cóż po poecie w czasie marnym?” – zapytuje elegia Hölderlina „Chleb i wino”. Odeszli bohaterowie, umarli bogowie, kogo mają dziś opiewać poeci? Pytanie klasyka niemieckiego spopularyzowało się w Polsce bardzo po roku 1977, gdy „Czytelnik” wydał zbiór esejów Martina Heideggera, z których jeden, „Cóż po poecie?”, był głęboką analizą poezji Fryderyka Hölderlina i Rainera Marii Rilkego.

Z filozoficznym pytaniem Hölderlina/Heideggera tylko luźno związana jest czynna obecnie w warszawskiej Zachęcie wystawa pod nazwą „Cóż po artyście w czasie marnym. Sztuka niezależna lat 80”. Problemy filozoficzno-metafizyczne unicestwiono tu w istocie, sprowadzając rzecz do polityki. Na przykład Romuald Skowron na swój obraz pt. „Ten dzień” (1981) nalepia po prostu dekret o stanie wojennym z 13 grudnia, z lekka go tylko werniksując. Plakat do wystawy, roboty Leszka Sobockiego, przedstawia autora z pędzlem w ręku pod nasmarowanym na murze napisem „Solidarność” – i potem w charakterystyczny sposób zasmarowanym, kto wie, może przez samego artystę? Ot, przewrotność!

„Cóż po artyście”... W gruncie rzeczy na tym upolitycznionym pokazie przeważały kicze... Celuje w nich Jan Rylke (ciekawy rym: Heidegger mówi o Rilke, ja tutaj o Rylkem). Maluje Rylke na przykład Ojca Świętego, jak wyciągniętą ręką wyznacza Marszałkowi Piłsudskiemu drogę przez życie... Piłsudski idzie i w marszu robi sobie dodatkowo notatki w małym zeszytiku. Inne dzieło Jana Rylkego („Mousetion polski”, 1982), pokazuje dziewięć muz, a jakże, w chitonach, postawionych przez zomowca pod murem Ministerstwa Kultury w Warszawie.

Maciej Bieniasz sportretował ptaszka, który umiera za kratami („Gołąb”, 1981). Zwilgotniały mi oczy, gdy to oglądałem... Natomiast Łukasz Korolkiewicz, znakomity artysta, nie wiadomo po co namalował „Komitet Centralny w czasie burzy” (1985). Z niebiosów wypada piorun i wali prosto w dach przybytku diabła. Mo-cne! Najbardziej naiwny zdał mi się Jacek Sempoliński, forsujący, jak by tu rzec, naturalizm intelektualny. Czas jest marny, to i sztuka powinna być marna. I wiesz artysta na ścianach Zachęty 15 burofioletowych, podziurawionych worów, napiętych na 15 ram siedemdziesiąt centymetrów na sto, a całości daje nazwę nie wiadomo dlaczego „Czaszka”. Dziura w sznacie – strzał w tył głowy? Oświeć mnie Panie Boże, bo nic nie rozumiałem.



ADAM HOFFMANN

Lubię czasem sztukę, która pokazuje, jak nie należy robić sztuki... Podobają mi się kiedyś bardzo felietony Barańczaka z cyklu „Książki najgorsze”. Mozart jak wiadomo ułożył ileś kompozycji zawierających szkolne błędy – w celach rozrywkowo-dydaktycznych... Czasu spędzonego w Zachęcie nie uważam za stracony... Zresztą widziało się też kilku artystów po prostu dobrych – Jerzy Tchórzewski, Zbylut Grzywacz... Interesujący byli Bednarski i Rybicki w ogromnej (sześć na osiem) „Pawanie na belkę i gwoździe” (1989), utrzymanej w poetyce „nowej dzikości” czy „realizmu radykalnego”... Ale że ton nadawali producenci „zaangażowanej” lichoty, wystawa „Cóż po artyście w czasie marnym” koniecznie powinna by się nazywać „Cóż po marnym artyście...” Mógł kiedyś w Paryżu funkcjonować Salon Odrzuconych – kto wie, może Jan Rylke czy Maciej Bieniasz wystawiliby właśnie chętnie swoje dzieła na pokazie pod odważną nazwą „Cóż po marnym artyście...”

Niedziela, 13 stycznia. Życie naśladuje sztukę. Ot, taka na przykład fabuła z dzisiejszej prasy. Przy ulicy Międzynarodowej 45 (to nawet niedaleko od mojej Siennickiej) żyje rodzina, która zachowuje się niekonwencjonalnie. Sześćdziesięcioletnia matka i czterdziestoletni syn, mieszkający na trzecim piętrze, w podłodze swojej łazienki wybili dziurę i potrzeby fizjologiczne załatwiają wprost do łazienki sąsiadów. Niekiedy stoiki z nieczystościami wyrzucają przez okno. Matka i syn jedzenie zdobywają w okolicznych śmietnikach. Od kilku lat nie mają bieżącej wody (odcięto im ją razem z elektrycznością i gazem) więc zdarza się, iż ku uciesze okolicznej dzieciarni piją wodę wprost z kałuży przed domem. Mężczyzna w dzień czyha na sąsiadów z nożem, a kobieta biega nago po korytarzu. Nocą na klatce schodowej głośno śpiewają. PGM Praga-Południe wniosło sprawę do Sądu Rejonowego o wykwaterowanie szalonych jaskiniowców, ale jakoś eksmisji do dziś nie wykonano. Urząd Dzielnicy nie odpowiada na coraz bardziej rozpaczliwe listy mieszkańców.

Poniedziałek, 14 stycznia. Norweski parlament zażądał od Komitetu Noblowskiego odebrania Michajłowi Gorbaczowowi Pokojowej Nagrody Nobla, przyznanej mu w 1990 roku – poinformowały dzisiejsze „Wiadomości” telewizyjne.

Maciej Cisło

Prorok Elizeusz, niedźwiedzie i dzieci

Tadeusz Nowakowski, utalentowany powieściopisarz i autor słynnych reportaży o podróżach z papierem, na październikowym spotkaniu w Pen-Klubie okazał się być również uroczym gawędziarzem. Wśród anegdot, którymi sypał jak z rękawa, jedna utkwiła mi szczególnie w pamięci. Była to opowieść o pewnej zacnej rodaczce z Chicago, uczczonej przez tamtejszą Polonię dość szczególnie w naszych uszach brzmącym nekrologiem. Stawiono ją mianowicie między innymi i za to, że choć owdowiała dość wcześnie, to jednak będąc nadal młodą i ponętą, wytrzymała aż po grób w wierności dla zmarłego męża. A przecież – mówił autor *Obozu wszystkich świętych* miała tyle okazji i kuszących propozycji... Śmiałem się z tego głośno, wraz z innymi słuchaczami. Do rozbawienia przyłączyła się jednak później refleksja na temat różnic wrażliwości moralnej, uwarunkowanych nie tylko geograficznie ale i czasowo.

Pochwała cnotliwości owej damy z Chicago przypominała mi fragment mowy Marcina Kromera, poświęconej pamięci Zygmunta Starego. Pobożny i gorliwy w wierze kanonik (co nie było w XVI wieku wcale tak częste) słał zmarłego króla i za to, że choć Zgmunt był z natury zmysłowy, a w latach młodzieńczych poczynił sobie dość lekkomyślnie, to jednak nigdy „nie zgwałcił żadnej uczciwej i skromnej dziewczyny”. Podobna pochwała nie mogła zgorszyć renesansowych czytelników, skoro w całej ówczesnej Europie unoszono się nad szlachetnością Scypiona Afrykańskiego, który nie znievolił pojmanej w Hiszpanii do niewoli „pięknej, młodej i zacnej białogłowy”, lecz nietkniętą zwrócił przyszłemu mężowi. Chwalili za to rzymskiego wodza Michel Montaigne i Baltassare Castiglione, u nas zaś to samo czynił Łukasz Górnicki. Szlachetną powściągliwość Scypiona wystawiał na sejmie 1548 roku znany polityk szlachecki, Piotr Boratyński.

Pochwałę za rzeczy dla nas oczywiste towarzyszyła aprobata czynów, które dziś określilibyśmy jako ze wszech miar naganne. Znajdowano je dość często na kartach Starego Testamentu, księgi pełnej zresztą mało budujących moralnie scen. Dlatego też Bogusław Radziwiłł, zalecając w testamencie (1667) córce Karolinie

codzienną lekturę Biblii, pisał równocześnie: „a że w Starym Zakonie są niektóre rozdziały, których skromność panięńska czytać zabrania, te opuszczać”. Inna sprawa, że w rozumieniu księcia należały do nich zapewne opisy gwałtów czy kazirodzy stosunek córek Lota z własnym ojcem, a nie na przykład surowe ukaranie dzieci, sztychających z łysiny proroka Elizeusza.

Przypomnijmy za Drugą Księgą Królewską, że prorok ów przeklął „w imię Pańskie” chłopców krzyżujących do niego: „Przyjdź no, łysku! Przyjdź no, łysku! (...) Wówczas wypadły z lasu dwa niedźwiedzie i rozszarpały spośród nich czterdzięci dwoje dzieci”. To krwawe wydarzenie nie musiało się chrześcijanom wydawać czymś nagannym, skoro przez całe średniowiecze Elizeusza przedstawiano z niedźwiedziem u stóp. Tradycję tę kontynuują następane stulecia: malarstwo oraz grafika XVI-XVII wieku, zarówno katolicka jak protestancka (między innymi sam Rembrandt) często ukazywały proroka, który z wyraźną satysfakcją przypatruje się owej scenie rozszarpywania dzieci przez „bestie”. Jest rzeczą znamionną, iż daremnie by jej szukać w ostatnio wydanym pięknym albumie *Biblia w malarstwie*, którego polską edycję (1990, Wydawnictwo Penta) poprzedził przedmową znany historyk sztuki i poeta, ks. Janusz Pasierb.

Również i z tej ponurej sceny próbowano wyciągnąć budującą naukę moralną, tłumacząc barokowym czytelnikom, że ów gniew Elizeusza znaczył „nieszczęście tych, co noszą imię dzieci Kościoła, naśmiewają się swawolnie z Chrystusa i z krzyża jego”. Jeśli obecnie na owych bluznierców nie wypadają zaraz niedźwiedzie, to dlatego, „aby się tym nieszczęśliwszym dusze ich cierpiały od czartów, w których się dostaną paszczkę, gdy żartują z Chrystusa”.

Trudno jednak wymagać miękkiego serca od ludzi z upodobaniem obserwujących pale nie czarownic, publiczne egze-

kucje przestępców oraz towarzyszące im tortury. W czasach, które nie znały kina ani telewizji, były to niejako horrory na żywo, przedstawienia teatralne, w których główne role odgrywał kat oraz jego ofiary. Od „małodobrego” wymagano biegłości w sztuce powolnego zadawania bólu, od skazańców – budujących zebranych skruchy. Okna z których można było oglądać te widowiska, wynajmowano za, dość słońną zazwyczaj, opłatą.

Na ogół zaś w postawach ludzkich dominowała opisana później przez Sienkiewicza „moralność Kałego”. Dzieci rozszarpywane przez niedźwiedzie to były „rozpustne bachorzęta”, godne kary, jaką im wymierzono. Nikt także nie wydawał się żałować owych egipskich synów pierworodnych, których Jehowa uśmiercił, aby złamać opór ich ojców, wzbraniających Żydom wyjścia z Egiptu. Natomiast niemowlęta, zabite przez siepaczy Heroda, którzy szukali wśród nich małego Mesjasza, to były godne współczucia ofiary, pierwsi męczennicy rodzącego się chrześcijaństwa.

Łatwo jest się nam dziś tym wszystkim gorszyć czy oburzać, ale czyż podobna podwójna moralność nie występuje w stosunku do wielu dylematów etycznych współczesnego wieku? Inna sprawa, że nikt by się chyba nie zdobył na publiczną aprobatę postępków Elizeusza, czy pochwałę nowego Scypiona za to, iż nie gwałcił wziętych do niewoli kobiet. Jesteśmy moralniejsi od naszych przodków, czy tylko bardziej zakłamani?

Janusz Tazbir

Prenumerata „Tygodnika Literackiego”

Cena prenumeraty krajowej „Tygodnika Literackiego” kwartalnie (13 numerów) – 32500 zł, zagranicznej kwartalnie – \$19,5, lub równowartość w walucie lokalnej (wysyłka pocztą lotniczą).

Możliwa jest również prenumerata mniejszej ilości numerów z zaznaczeniem, od którego numeru została dokonana wpłata. Cena pojedynczego egz. w prenumeracie wynosi 2500 zł lub \$1,5.

Wpłaty prosimy kierować na konto:

„CAMELOT” spółka z o.o. PBK III Oddział Warszawa 370015-971241-136

Informacji udziela „CAMELOT” Warszawa, ul. Rakowiecka 4, tel. 48-38-09